

NATALIE FIELDS

DALEJ NIŻ DIABEŁ MÓWI DOBRANOC
Tytuł oryginału **IN THE MIDDLE OF NOWHERE**

1

- Wiedziałam! - zawołała Martha.

- Uspokój się - powiedziała matka, dyskretnie zerkając na boki. - Nie jesteśmy w barze szybkiej obsługi.

- Oczywiście, że nie - rzuciła z sarkazmem córka. - Jesteśmy w jednej z najlepszych restauracji w Bostonie. - Głos znów zaczął jej się podnosić. - I kelner za chwilę przyniesie mi homara.

- Proszę cię, mów trochę ciszej.

- Manno, właśnie przekazałaś mi najgorszą wiadomość, jaką usłyszałam w życiu, a ty się przejmujesz, że ktoś może mnie usłyszeć.

- Jesteśmy w cywilizowanym miejscu i chciałabym, żebyś się odpowiednio zachowywała. - Matka wypła łyk naturalnie gazowanej wody Perrier i dodała: - Rozumiem, że jesteś rozżalona, ale...

- Rozżalona?! Mamo, jestem zrozpaczona, wściekła i nieszczęśliwa.

Kiedy matka po powrocie z uniwersytetu powiedziała, że musi z nią coś omówić i najlepiej zrobić to przy kolacji, Martha miała już złe przeczucie, które jeszcze się umocniło, gdy mama zarezerwowała stół w bardzo ekskluzywnej restauracji. A kiedy spytała ją, czy nie ma ochoty na homara, Martha była już pewna, że chce jej w ten sposób coś osłodzić.

Mimo to długo miała nadzieję, że się myli. Przecież mama nie byłaby uśmiechnięta, nie świeciłyby jej się oczy i nie mówiłaby tak podekscytowanym głosem, gdyby naprawdę zamierzała jej przekazać złą wiadomość.

Córka nie przewidziała jednak, że ta wiadomość jest niedobra tylko dla niej.

Grupa naukowców, z którą była związana matka, zdobyła pieniądze na badania archeologiczne w Peru. Martha wiedziała, że już od roku starali się o ten grant, zdawała więc sobie sprawę, że to duża sprawa, i rozumiała radość mamy.

Kiedy matka oznajmiła, że prace wykopaliskowe w Peru

mogą się przeciągnąć nawet do trzech lat, Martha, która w pierwszej chwili nie uświadomiła sobie, jakie to może mieć konsekwencje, cieszyła się z sukcesu mamy i jej kolegów z uniwersytetu.

- Jest jednak pewien problem, który muszę z tobą omówić - zaczęła ostrożnie matka.

Dziewczyna wciąż nie miała pojęcia, gdzie tkwi ów problem.

- Nie możesz pojechać ze mną - powiedziała mama.

Martha nie była ignorantką; wystarczająco dobrze знаła środowisko archeologów, by wiedzieć, w jakich warunkach czasem muszą żyć i pracować.

- To oczywiste - powiedziała i uśmiechnęła się. Chciała, by mama czuła, że podziela jej radość.

- Ktoś się w tym czasie musi tobą zaopiekować.

- Mam już siedemnaście lat.

- Właśnie. Trochę mało, żebyś została w domu sama.

- Może pomieszkać u babci - zasugerowała Martha.

Matka zasepiła się.

- Ja również o tym pomyślałam. Ale babcia z dziadkiem przeprowadzają się na Florydę.

Martha nie przejęła się tą wiadomością.

- Przecież oni od trzech lat przenoszą się na Florydę.

- Rzeczywiście, mówili o tym od dawna - przyznała matka. - Ja też sądziłam, że ten pomysł pozostanie w sferze planów, ale właśnie przedwczoraj podpisali akt notarialny. Kupili w Miami apartament i za tydzień się przeprowadzają.

Martha, która nie zdążyła się jeszcze zastanowić, jakie są alternatywy zamieszkania u dziadków, w głębi duszy ucieszyła się. Mając matkę zajętą pracą naukową, przyzwyczaiła się do wolności, na którą w domu dziadków z pewnością nie mogła liczyć.

- Może u cioci Margaret? - spytała. Lubiła siostrę mamy, ale nikt przed nią nie ukrywał, że ciocia Margaret od kilku lat zmaga się z problemem alkoholowym. - Spędziła dwa miesiące w klinice odwykowej, więc może...

- Martho - przerwała jej mama. - Wiem, że jesteś do niej przywiązana. Margareth to wspaniała osoba, ale kiedy opuszczała klinikę, terapeutka powiedziała jej, że najpierw powinna sobie kupić roślinę doniczkową. Jeśli po sześciu miesiącach roślina nie uschnie, może wziąć zwierzę, psa albo kota. I dopiero po kolejnych sześciu, pod warunkiem, że zwierzak w tym czasie nie zdechnie, mogłaby wziąć odpowiedzialność za człowieka. - Matka ułamała kawałek bagietki, namoczyła w oliwie aromatyzowanej truflami i włożyła do ust. - Margareth jest wciąż na etapie rośliny doniczkowej, więc sama rozumiesz...

Dziewczyna skinęła głową.

- A wujek Freddy? - rzuciła i natychmiast pożałowała, że o nim wspomniała.

Brat mamy mieszkał w Nowym Jorku, a nie chciała wyprowadzać się z Bostonu. Tu miała przyjaciół i Paula - chłopaka, z którym spotykała się od roku. Była w nim zakochana po uszy i nie dopuszczała możliwości, że mogliby się rozstać.

- Pomyślałam o nim - przyznała się matka. - Tylko że Freddy jest strasznie zapracowany, całymi dniami nie ma go w domu, więc opieka nad tobą spadałaby na Meryl, a ona ma przecież dwoje małych dzieci. Poza tym...

W rodzinie nigdy nie mówiono o tym głośno, ale druga żona wujka Freddy'ego nie została całkiem zaakceptowana.

- Rozumiem - powiedziała Martha, zadowolona, że mama porzuciła ten pomysł.

Gdyby wtedy wiedziała, gdzie w końcu wyląduje, Nowy Jork pewnie wydałby jej się rajem.

Poza ciocią Margaret i dziadkami nikt z bliskiej rodziny nie mieszkał w Bostonie.

- Może mogłabym zamieszkać u Bridget? - wpadła na pomysł Martha.

- To twoja dobra przyjaciółka, ale wydaje mi się, że nie jesteś szczególnie związana z jej rodzicami.

Martha musiała się zgodzić z mamą. Mimo że często odwiedzała Bridget, nie miała z nimi najlepszego kontaktu,

zwłaszcza z panią Dunmore, osobą dosyć zimną i nieprzystępną.

- Dunmore'owie to obcy ludzie - skwitowała matka.

- Więc jakie jest wyjście?

Mama znów ułamała kawałek bagietki, zjadła go i popiła wodą.

- Mamy jeszcze kogoś z rodziny? - spytała Martha. Matka zaczęła nerwowo skubać bagietkę.

- Masz ojca - powiedziała w końcu cicho.

- Co?!

- Masz ojca - powtórzyła jeszcze ciszej.

- Nie mam ojca! - zawołała Martha tak głośno, że nawet ona, choć zupełnie jej nie obchodziło, co pomyślą ludzie, zauważyła, że osoby siedzące przy najbliższych stolikach zwracają spojrzenia w jej stronę.

- To nie był chyba dobry pomysł, żeby przeprowadzić tę rozmowę w restauracji.

- Ta rozmowa chyba w ogóle nie jest dobrym pomysłem. Ale skoro zaczęłaś, to ją skończmy.

- Jeśli potrafisz o tym mówić spokojniej i ciszej...

- Postaram się - obiecała Martha. Ze zdenerwowania zaschło jej w gardle, wypiła więc kilka łyków wody. - Przed chwilą powiedziałaś, że Dunmore'owie są dla mnie obcymi ludźmi - przypomniała matce. - Kim w takim razie jest dla mnie ojciec? Rodziców Bridget widuję przynajmniej raz w tygodniu, a jego nawet nie pamiętam.

- Może czas to zmienić - odezwała się matka bardzo ostrożnie.

- Przyznaj się. - Martha spojrzała jej w oczy. - Nie wpadłabyś na ten pomysł, gdyby nie wyjazd do Peru.

Matka przez dłuższą chwilę milczała. Skubała bagietkę na małe kawałeczki, ale ich nie jadła, tylko odkładała na talerzyku przeznaczonym na pieczywo.

- Prawdopodobnie nie - odezwała się w końcu.

- Widzisz!

- Pozwól mi sobie coś powiedzieć. Tylko nie przerywaj,

bardzo cię proszę.

Matka wyprostowała złożoną fantazyjnie serwetkę, po czym spróbowała nadać jej taki sam kształt, jaki miała przed chwilą. Nie udało się, zwinęła ją więc w nieporządną rulonik i odłożyła na stół.

- Czasami życie nas zmusza - zaczęła bardzo powoli - do zrobienia czegoś, na co zupełnie nie mamy ochoty. Buntujemy się przeciw temu, protestujemy, cierpimy, ale nie mamy wyjścia i to robimy. A potem się okazuje, że to wcale nie było dla nas takie złe, że miało dobre strony, których nigdy byśmy nie odkryli, gdyby nie zmusiła nas do tego sytuacja.

- Co ty mówisz?! Jakie dobre strony?!

- O tym, że mogłabyś nawiązać kontakt z ojcem.

- Z facetem, który nas zostawił i zapomniał o naszym istnieniu?

- Nie zapomniał. W każdym razie nie o tobie.

- Mamo, on od kilkunastu lat ani razu nie spróbował się ze mną skontaktować.

- Nie wiem, czy w tym nie było trochę mojej winy.

Martha spojrzała na nią pytająco.

- Prosiłam go o to - powiedziała matka cicho.

- Dlaczego?

- Sądziłam, że tak będzie dla ciebie lepiej. Kiedy ojciec odszedł, miałaś cztery lata. Na początku byłam tak rozżalona, że utrudniałam mu kontakty z tobą, chcąc go w ten sposób ukarać.

- Chciałaś go ukarać moim kosztem?

- Wstyd mi się do tego przyznać, ale tak było.

- A potem?

- Potem kogoś poznałam. Martha domyśliła się o kim mowa.

- Dona?

Kiedy była w pierwszej, może drugiej klasie podstawówki, często odwiedzał ich przyjaciel mamy. Spędzali razem weekendy, jeździli na wycieczki, chodzili do kina. A potem nagle zniknął. Teraz Martha nie miała już pojęcia, ile to trwało, najwyraźniej jednak na tyle długo, że go zapamiętała.

Matka skinęła głową.

- Ja i Don mieliśmy plany na przyszłość - ciągnęła. - Miałam nadzieję, że zastąpi ci ojca... No, ale nic z tego nie wyszło.

Don prawdopodobnie nie był ostatnim mężczyzną w jej życiu. Potem umawiała się jeszcze na randki, ale najwyraźniej żadnego partnera nie traktowała na tyle poważnie, by zapraszać go do domu i poznawać z córką.

Martha zastanawiała się chwilę nad tym, co usłyszała.

W końcu uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową.

- Mamo, cokolwiek byś powiedziała, i tak mnie nie przekonasz. Nawet jeśli weźmiesz na siebie całą winę. A wiem, że robisz to tylko dlatego, żebym zmieniła o nim zdanie.

- Rzeczywiście, zależy mi na tym - przyznała matka. - Ale mylisz się, sądząc, że mówię ci to wszystko tylko dlatego.

- Więc po co?

- Bo chcę być uczciwa wobec ciebie i twojego ojca. - Rozłożyła serwetkę, ponownie zwinęła ją w rulonik, popatrzyła na córkę i dodała: - Ale przede wszystkim wobec siebie.

- Dziwne tylko, że na tę uczciwość zebrało ci się dopiero teraz, kiedy masz wyjechać do Peru - powiedziała Martha.

Zobaczyła przygnębioną twarz matki i pożałowała tych słów.

- Mamo, przecież gdyby mu na mnie zależało, utrzymywałby ze mną kontakty, niezależnie od twoich próśb czy zakazów.

- To nie jest takie proste.

- Dla mnie jest.

Kelner przyniósł homary. Wyglądały imponująco, ale po raz pierwszy w życiu ani cała ceremonia związana ze spożywaniem ich - rozłupywanie szczypców i wyłuskiwanie smakowitych blad różowych kęsów - ani samo jedzenie nie sprawiły Marcie przyjemności.

Przez dłuższy czas robiły to w milczeniu. Przerwała je matka.

- Twój ojciec ucieszył się - zaczęła, patrząc na córkę z obawą - kiedy usłyszał, że mogłabyś u niego zamieszkać.

- To on już wie?! - Martha ścisnęła szczypce, z którymi przed chwilą nie mogła sobie poradzić, tak mocno, że je zmiażdżyła.

Matka skinęła głową.

- Więc po co w ogóle ta rozmowa, skoro i tak wszystko jest już postanowione? Mogłaś sobie oszczędzić wydawania pieniędzy na homary.

- Nie nie jest jeszcze postanowione. Decyzja należy do ciebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie.

- Oświeć mnie, proszę, jaki mam wybór - rzuciła sarkastycznie. - Albo zamieszkać u ojca, albo... No właśnie! Albo co?

- Albo nie wyjadę do Peru - odparła matka.

Fakt, że ani sekundy nie wahała się z odpowiedzią, podobnie jak zdecydowanie w jej głosie i wyraz twarzy przekonały Marthę, że to nie jest z jej strony taktyczna zagrywka - żaden blef.

- Nie, to nie jest fair! - zawołała.

Matka przestała już zwracać uwagę na siedzących przy sąsiednich stolikach ludzi, którzy co jakiś czas kierowali wzrok w ich stronę.

- Chcesz, żebym się czuła odpowiedzialna za zmarnowanie ci kariery naukowej - powiedziała Martha.

- Nie, naprawdę tego nie chcę. - Matka pochyliła się nad stołem i ujęła jej dłonie. - Posłuchaj mnie i uwierz, że mówię to, co myślę. Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, nie będę miała do ciebie żalu ani pretensji.

- Ale ja będę miała.

2

Następnego dnia, jak w każde sobotnie przedpołudnie, Martha zobaczyła się z Bridget na basenie i już w przebieralni zdała jej relację z rozmowy z matką.

- Więc powiedz jej, że się nie przeprowadzisz do ojca - poradziła przyjaciółce Bridget.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo to byłby egoizm.

- Egoizm! - prychnęła Bridget. - A to co robi twoja mama? Czy to nie jest egoistyczne?

- Wiem, że bardzo jej zależy na udziale w tych badaniach w Peru.

Przed kwadransem, zanim się spotkały, Martha myślała podobnie jak ona. Ale teraz, słysząc krytykę pod adresem matki, nagle odczuła potrzebę bronienia jej.

- Już raz, kilka lat temu, zrezygnowała z wyjazdu do Gwatemali - oznajmiła. - Wtedy uważała, że jestem jeszcze za mała, żeby mnie zostawić.

- I teraz nie omieszkała cię o tym poinformować, żeby ci pokazać, jaką jest wspaniałą matką i jak się dla ciebie poświęciła.

- Nie mów tak o niej - zaprotestowała Martha. - Wcale mi o tym nie powiedziała, ani teraz, ani wcześniej. Dowiedziałam się przypadkiem od jej siostry.

- Przepraszam. - Bridget prawdopodobnie zrozumiała, że jej ataki na mamę przyjaciółki były co najmniej nietaktem, i zaczęła się tłumaczyć: - Jest mi po prostu smutno i przykro, że będziesz musiała wyjechać z Bostonu.

- A mnie...? Co ja mam powiedzieć?

- I nic już się nie da z tym zrobić? Martha pokręciła głową.

- Wszystko jest postanowione. Mam już nawet rezerwację na lot do Minneapolis.

- Do Minneapolis? - Bridget skrzywiła się. - Gdzie on właściwie mieszka ten twój ojciec?

- W Minnesocie. Nad jakimś jeziorem, blisko granicy z Kanadą.

- To jakieś straszne zadupie.

- Chcesz mnie jeszcze bardziej zdołować?

- Nie chcę cię dołować. Po prostu mówię to, co myślę.

Wprawdzie Martha nawet sama przed sobą się do tego nie przyznawała, ale gdzieś w zakamarkach jej świadomości tliła się nadzieja, że Bridget, zamiast ją dobijać i atakować jej matkę, wpadnie na pomysł, że mogłaby - przynajmniej na jakiś czas, choćby te dwa miesiące, które pozostały do wakacji - zostać u nich. Pewnie i tak nic by z tego nie wyszło. Martha, po pierwsze, wiedziała, co na ten temat myśli jej mama, po drugie, przypuszczała, że państwo Dunmore'owie nie byliby tym zachwyceni. Mimo to była lekko rozżalona, że przyjaciółka nawet słowem nie wspomniała o takiej możliwości.

- Chyba nic już się nie da zrobić - powiedziała smutnym głosem.

- Więc kiedy wyjeżdżasz?

- Dokładnie za dwa tygodnie.

- Tak szybko?

- Mama wylatuje do Peru w niedzielę i upiera się, że musi mnie osobiście odwieźć na lotnisko - wyjaśniła Martha.

- A co ze szkołą? Czy na tym zadupiu w ogóle jest jakaś... - Bridget przerwała, widząc jej przygnębioną twarz.

Wczoraj po powrocie z kolacji Martha jeszcze długo rozmawiała z mamą i dowiedziała się co nieco o tym, co ją czeka.

- Do najbliższego liceum jest ponad dwadzieścia kilometrów.

- To pewnie jakaś wiejska szkoła - rzuciła Bridget. - Umrzesz tam z nudów.

Zawsze szybciej mówiła niż myślała, ale dotychczas Martha nie miała nic przeciwko temu; uważała to za przejaw szczerości. Dziś po raz pierwszy pomyślała, że Bridget przydałoby się trochę delikatności.

Od kilka minut stała w samym kostiumie kąpielowym. Zobaczyła, że ramiona ma pokryte gęsią skórą.

- Chodźmy już popływać - rzuciła, okrywając się ręcznikiem.

- A co z Paulem? - spytała Bridget, kiedy wychodziły z przebieralni.

Dotknęła najbardziej bolesnego punktu. Oczy jej przyjaciółki zaszły mgłą.

- Czy on już wie? Martha pokręciła głową.

- Nie rozmawiałaś z nim jeszcze?! - zdziwiła się Bridget.

- Dzwonił do mnie jakąś godzinę temu, ale nie chciałam mu nic mówić przez telefon.

Prawda była taka, że irracjonalnie wierzyła, że jeżeli będzie zwlekać z przekazaniem mu złej wiadomości, to może stanie się jakiś cud i uniknie wyjazdu Bostonu.

Wieczorem Martha miała iść z Paulem do kina. Zadzwoił godzinę przed umówionym spotkaniem, kiedy szykowała się już do wyjścia.

- Cześć, króliczku - powiedział.

- Cześć, Paul. Prosiłam cię, żebyś tak do mnie nie mówił.

W dzieciństwie miała nierówne, nieco wystające do przodu górne jedyńki, które sprawiały, że kiedy się uśmiechała, przypominała królika. Rówieśnicy natychmiast to dostrzegli i odpowiednio ją ochrzcili. Paula poznała dużo później, gdy przestała nosić aparat korekcyjny, jej zęby były idealnie równe i zniknęło jakiegokolwiek podobieństwo do królika. Mimo to nie lubiła, kiedy się tak do niej zwracał, przypominało jej to bowiem przezwisko, które było przyczyną morza łez.

Nie lubiła tego jeszcze z jednego powodu. Paul mówił tak do niej zwykle wtedy, kiedy za coś ją przeproszał, chciał przekonać do czegoś, na co nie miała ochoty, albo zamierzał przekazać jakąś przykrą wiadomość.

Tak również było tym razem. Wiadomość okazała się zła dla Marthy, nie dla Paula. On, na ile można to było stwierdzić po jego głosie, tryskał humorem.

- Wiesz, kto to jest Sammy Long? - spytał takim tonem, jakby zakładał, że każdy musi wiedzieć.

- Nie mam pojęcia - odparła niepewnie Martha. Pomyślała, że Sammy Long to jakaś niesłychanie ważna osoba i przyznając, że nie wie, kim on jest, okaże ignorancję.

- Naprawdę o nim nie słyszałaś?

- Nie.

- To didżej - oświecił ją Paul.

- Aha - rzuciła, odetchnawszy z ulgą. Nie czuła się skompromitowana faktem, że nie zna nazwiska czy pseudonimu jakiegoś didżeja.

- Bardzo znany - dodał jej chłopak.

Nawet gdyby był sławny jak Funkstar de Lux - to był jedyny

didżej, którego pseudonim potrafiła wymienić - nic by jej to w tej chwili nie obchodziło.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się cicho.

- Zaraz, ale najpierw mnie posłuchaj. To jest absolutna bomba.

Martha zastanawiała się, czy coś może być większą bombą od tego, co ona ma do przekazania Paulowi, ale mu więcej nie przerywała.

- Brat Josha poznała niedawno Sammy'ego Longa i opowiedział mu o nas - zaczął rozemocjonowanym głosem.

Domyśliła się, że chodzi o szkolny zespół rockowy, w którym Paul grał na gitarze solowej, a jego przyjaciel Josh Maguire był perkusistą.

- I Sammy Long - Paul zrobił pauzę dla wzmocnienia efektu - zgodził się przyjść i nas posłuchać.

- Fajnie - powiedziała Martha, ale nie udało jej się wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu.

Jej chłopak był jednak tak zaaferowany, że nie zwrócił na to uwagi.

- Wiesz, jaka to dla nas szansa?

- Domyślam się.

Martha nigdy się do tego nie przyznała, ale nie była zachwycona muzyką, jaką grał z kolegami - wydawała jej się zbyt agresywna, za głośna, za prosta, żeby nie powiedzieć prymitywna. Rozumiała jednak, że każdy ma prawo do własnych upodobań, i gdyby nie to, że miała Paulowi do zakomunikowania smutną wiadomość, pewnie teraz cieszyłaby się razem z nim.

- Kiedy ten Sammy Long się z wami spotka? - spytała.

- Mniej więcej za dwa tygodnie. Brat Josha powie nam, kiedy i gdzie.

- To dobrze. Już się obawiałam, że to będzie dzisiaj i nie będziemy mogli się spotkać.

- Króliczku...

Tym razem przełknęła „króliczka”.

- Chyba się nie zobaczymy - powiedział Paul. - Ja i chłopaki

mamy niecałe dwa tygodnie. Musimy ćwiczyć w każdej wolnej chwili, żeby jak najlepiej wypaść. Akurat dzisiaj wszyscy czterej możemy, więc szkoda by było tego nie wykorzystać.

Martha poczuła, jak w gardle rośnie jej gula.

- Bardzo mi zależało, żeby się z tobą dzisiaj zobaczyć.

- Zrozum mnie... - poprosił Paul.

- Rozumiem, jasne, że rozumiem.

- Za dwa tygodnie, po spotkaniu z Sammym Longiem, jeśli będziesz miała ochotę, możemy chodzić do kina nawet codziennie.

- Za dwa tygodnie... - powtórzyła za nim Martha głosem pełnym goryczy. - Paul, za dwa tygodnie mnie już tu nie będzie.

- Jak to?!

- Wyjeżdżam do ojca.

- Wydawało mi się, że nie utrzymujecie ze sobą kontaktu. Jedziesz do niego w odwiedziny?

- Prawie półtora roku to trochę długo jak na odwiedziny.

Ustały z matką, że zamieszka u ojca do czasu, aż pójdzie do college'u?

- Wyjeżdżasz z Bostonu na czternaście miesięcy?! Możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi?

- Właśnie dlatego tak mi zależało na spotkaniu z tobą. Żeby ci powiedzieć.

- Więc zrób to teraz. - Paul sprawiał wrażenie bardzo przejętego.

Martha walczyła ze łzami, kilka razy załamywał jej się głos, ale w końcu wszystko mu wyjaśniła.

Paul zareagował podobnie jak Bridget, tyle tylko, że darował sobie krytykowanie matki Marthy. Dosyć dużo czasu zajęło jej przekonanie go, że sprawa jest postanowiona i nic się już nie da zrobić.

- To straszne! - zawołał, kiedy to w końcu do niego dotarło. - I nie będziemy mogli się widywać? - spytał, choć dwie, może trzy minuty wcześniej tłumaczyła mu, że będzie przylatywać do Bostonu wtedy, kiedy mamie wypadnie przerwa w pracy w Peru,

ale na stałe wróci tu dopiero na studia.

Paul policzył szybko w myślach.

- Szesnaście miesięcy... - powiedział cicho.

- Mniej więcej ryle. Strasznie długo, prawda? Cała wieczność.

- Co będzie z nami?

- Nie wiem, Paul, naprawdę nie wiem.

Wiedziałyby, jeśli przetrwanie ich związku mogłoby zależeć tylko od niej. Kochała go na tyle, że nie sądziła, by szesnaście miesięcy mogło cokolwiek zmienić. Ale on...

- Nie wiem, jak wytrzymam tak długo bez ciebie - powiedział.

Ona też nie mogła sobie wyobrazić jak, ale była pewna, że to potrafi.

- Czy tam w ogóle jest telefon? - spytał Paul. Martha była mu wdzięczna, że miejsca, w którym wkrótce będzie musiała zamieszkać, nie nazywa zadupiem.

- Jasne, że jest.

- Wreszcie dobra wiadomość. - Jego głos się ożywił.

- Mam jeszcze jedną, chyba nawet lepszą. Jest też Internet.

- Więc możemy być cały czas w kontakcie - ucieszył się Paul.

- Myślisz, że nam to wystarczy?

- Nie wiem, czy wystarczy, ale to jest już coś. Wyobraź sobie, że żylibyśmy w czasach, kiedy nie było ani telefonu, ani Internetu i bylibyśmy skazani na listy, które idą tygodniami.

Nie miała pewności, czy rzeczywiście tak było, czy to tylko wymysły autorek historycznych romansów, ale zdarzało się, że prawdziwe uczucia wytrzymywały próbę czasu - i to liczonego nie w miesiącach, lecz w latach.

W czarnej wizji przyszłości, którą miała przed oczami od wczorajszej kolacji z mamą, pojawił się jaśniejszy punkcik.

Punkcik przybrał rozmiary plamy, kiedy Martha w pełni uświadomiła sobie znaczenie tego, co mówił jej chłopak.

Zależało mu na niej i nawet jeśli kochał ją tylko w połowie

tak, jak ona jego - co za bzdura, pomyślała, żeby mierzyć uczucia!
- to istniała dla nich szansa.

- Martho, zadzwonię do ciebie za pięć minut - powiedział Paul, przerywając ciszę, która na dłuższy czas zaległa w słuchawce.

- O której umówiłeś się z chłopakami z zespołu?

- Miałem się z nimi spotkać za pół godziny, ale postaram się to odwołać. Spróbuję się skontaktować z Joshem, a potem dam ci znać, dobrze?

- Paul, proszę cię, nie rób tego.

- Czego?

- Nie odwołuj spotkania. Zależy mi na tym, żebyście dobrze wypadli przed tym... - Zdążyła już zapomnieć imię i nazwisko, czy może pseudonim, owego sławnego didżeja.

- Sammym Longiem.

- Właśnie. Naprawdę mi na tym zależy - powtórzyła Martha, starając się ze wszystkich sił, by jej słowa zabrzmiały przekonująco.

- Mnie też - przyznał się Paul, po czym dodał: - Ale bardziej zależy mi na tobie.

Nie należała do płaczliwych dziewcząt. W czasie tej rozmowy kilkakrotnie kręciły jej się łzy w oczach, ale za każdym razem potrafiła je powstrzymać. Teraz jej się to nie udało.

Chlipnęła do słuchawki.

- Króliczku... - Przypomniawszy sobie, że jego dziewczyna nie lubi, gdy się tak do niej zwraca. - Przepraszam. Już więcej nie będę.

- Wiesz co?

- Tak?

- Od dzisiaj możesz mnie tak nazywać. Nawet mi się to zaczęło podobać.

- Na pewno?

- Na pewno. - Martha zagłuszyła chlipnięciem swoją odpowiedź.

- Zadzwonię do Josha.

- Nie! - zaprotestowała z determinacją. Paul chwilę się zastanawiał.

- Mam pomysł! - zawołał. - Przyjadę po ciebie i posłuchasz, jak gramy.

Zapomniała o tym, że uważa ich muzykę za zbyt agresywną, za prostą, za głośną, żeby nie powiedzieć prymitywną.

- Byłoby cudownie - powiedziała.

- No to za piętnaście minut jestem u ciebie. Bądź gotowa.

- Już jestem gotowa.

- I co o nas myślisz? - spytał Paul, kiedy odwoził Marthę do domu.

Nawet jeśli nigdy nie przyznał tego głośno, uważał, że jego dziewczyna zna się na muzyce, i jej milczenie odczytał właściwie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że tak długo zwleka z wyrażeniem swojej opinii, ponieważ nie ma nic do powiedzenia.

- Ale szczerze, proszę.

- Naprawdę ci zależy, żebym była szczerą?

- Inaczej bym nie pytał.

Martha popatrzyła na niego, jakby chciała się upewnić, czy wie, o co ją prosi.

- Czemu nic nie mówisz? - zniecierpliwił się Paul.

- Czekam, kiedy podjedziesz pod mój dom i zaparkujesz.

- Aż tak źle?

- Nie, jest dobrze, ale...

- Ale?

- Za dwie, trzy minuty będziemy na miejscu i wołałabym ci to powiedzieć wtedy.

Uśmiechnęła się, kiedy poczuła, że jej chłopak nacisnął mocniej na gaz. Cieszyła się, że jej zdanie jest dla niego tak ważne, ale kiedy spojrzała na szybkościomierz, wystraszyła się.

- Proszę cię, zwolnij trochę! - zawołała.

Myliła się, mówiąc że dojadą do jej domu, za dwie, trzy minuty. Znaleźli się tam w dziewięćdziesiąt sekund.

- Ale co? - zapytał Paul, gasząc silnik.

Chyba się spodziewał, że będzie go dalej zwodzić, żeby się wymigać od szczerzej odpowiedzi, tym większe było więc jego zdziwienie, kiedy, nie owijając w bawełnę, powiedziała:

- Perkusja jest stanowczo zbyt hałaśliwa. Keyboard ma zbyt rozdzierający dźwięk. W gitarze solowej - popatrzyła na Paula, bo ta uwaga dotyczyła właśnie jego - brakuje trochę wirtuozerii. A bas... - Pokręciła głową. - Z tym się chyba nie da nic zrobić. Najlepiej byłoby zmienić basistę.

Martha zawsze sądziła, że szczeka może opaść każdemu, ale nie komuś, kogo się kocha. Teraz zaskoczyło ją odkrycie, że ta przypadłość dotyczy każdego, nawet tych najfantastyczniejszych chłopaków, tych jedynych. Jeszcze bardziej zdumiało ją jednak inne odkrycie. Że potem - to znaczy, po tym, jak opadnie im szczeka - nawet tych najfantastyczniejszych, jedynych, kocha się tak samo. A może nawet bardziej.

- Wiedziałem, że znasz się na muzyce - rzekł Paul, kiedy wreszcie otrząsnął się z szoku. - Ale mimo wszystko cię nie doceniałem.

Martha uśmiechnęła się.

- Nie zabolalo cię to, co powiedziałam? - spytała.

- Mnie w zasadzie i tak oceniłaś najłagodniej. A co do Seana...- Sean O'Connor był tym nieszczęsnym basistą - ...to ja, Josh i Michael też uważamy, że przydałby nam się ktoś bardziej wyrobiony muzycznie.

- Bardziej wyrobiony muzycznie? Wystarczyłoby, że miałby trochę słuchu, a i tak byłby o niebo lepszy od Seana. Nie będzie trudno znaleźć kogoś takiego.

- Pewnie - zgodził się z nią Paul. - Tylko jak to wytłumaczyć Seanowi. W gruncie rzeczy to fajny chłopak.

- Owszem, ale, niestety, słoń nadepnął mu na ucho.

Tego wieczoru dłużej niż zwykle całowali się na pożegnanie. I potem, za każdym razem kiedy się rozstawali - a spotykali się codziennie - całowali się dłużej i czulej.

Nieuchronnie zbliżała się chwila rozstania.

Martha nie spodziewała się, że ostatnie dwa tygodnie będą tak gorączkowe.

Do tej pory wyjeżdżała tylko na wakacje, nie opuszczała Bostonu na dłużej niż dwa tygodnie. Nigdy dotąd ona i matka nie przeprowadzały się. Wciąż mieszkały w domu, do którego Marthę przywieziono ze szpitala, gdzie przyszła na świat.

Czternaście dni, które upłynęły zarówno jej, jak i matce na przygotowaniach do wyjazdu, minęły, zanim się obejrzały.

Martha mogła wziąć ze sobą do samolotu tylko niewielką część rzeczy, pozostałe trzeba było zapakować w pudła i wysłać pocztą. Samo pakowanie nie było trudne, najwięcej czasu i uwagi zajmowało jej zastanawianie się nad tym, co musi ze sobą mieć.

Mama czasami jej doradzała, zwykle jednak Martha sama musiała podejmować decyzję.

- To już wszystko? - spytała matka, która przyszła do jej pokoju i zobaczyła cztery wielkie pudła przygotowane do wysłania.

- Skąd! To nie jest nawet połowa.

- Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? Dziewczyna bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie potrafię przewidzieć, co może mi się tam przydać.

- Przecież ciocia Margaret dostanie klucze do naszego domu, więc jeśli o czymś zapomnisz, będzie mogła ci to wysłać.

- Rzeczywiście. Nie pomyślałam o tym.

- Coś mi dzisiaj przyszło do głowy - oznajmiła matka.

- Tak?

- Za miesiąc są twoje urodziny.

Martha wcześniej planowała, że na swoje siedemnaste urodziny zorganizuje imprezę. Teraz wołała zapomnieć, że dwudziestego piątego maja, zamiast z Paulem i przyjaciółmi, będzie z zupełnie obcymi ludźmi, ale mama jej, niestety, przypomniwała.

- Chciałaś urządzić przyjęcie.

Martha nic nie powiedziała. Pogodziła się już z wyjazdem, czasem jednak na myśl o nim przejmował ją bezbrzeżny smutek, i właśnie teraz przyszła taka chwila.

- Posłuchaj, a może urządzisz przyjęcie pożegnalne dla koleżanek i kolegów? - zaproponowała matka.

W oczach dziewczyny na chwilę pojawił się błysk radości, ale natychmiast zgasł.

- Kiedy? Przecież za cztery dni wylatuję.

- Lecisz w sobotę, więc przyjęcie mogłoby się odbyć w piątek.

- Taką imprezę trzeba jakoś przygotować, a ja mam jeszcze mnóstwo pakowania - powiedziała Martha, wskazując ręką puste pudła.

- Kochanie, gdybyś się sprężyła, byłabyś z tym gotowa w kilka godzin.

W głębi ducha się z tym zgadzała. Wiedziała, że gdyby nie miała tak negatywnego nastawienia do wyjazdu, znacznie szybciej uporałaby się z pakowaniem.

- Zresztą pomogłabym ci w przygotowaniach do przyjęcia - zaoferowała się matka.

Martha zdawała sobie sprawę, że mama bardzo się stara osłodzić jej gorycz, że robi wszystko, by te ostatnie dni w Bostonie były przyjemne, i doceniała to.

- Przecież masz na głowie mnóstwo swoich spraw.

- Nie martw się, poradzę sobie z nimi. No to co będzie z tym pożegnalnym przyjęciem?

- Musiałabym jak najszybciej wszystkich zawiadomić. - Martha uśmiechnęła się. Pomysł zorganizowania imprezy coraz bardziej jej się podobał.

- Więc na co czekasz? Bierz telefon i dzwoń.

Martha zaprosiła na pożegnalne przyjęcie dwadzieścia dwie osoby. Wszyscy obiecali, że przyjdą, nawet ci, którzy mieli już jakieś weekendowe plany, powiedzieli, że z nich zrezygnują.

Tylko Paul był na początku trochę zawiedziony.

- Myślałem, że ten ostatni wieczór spędzimy tylko we dwoje. Uprzedziłem już nawet chłopaków, żeby w piątek na mnie nie liczyli.

- I co oni na to? - spytała Martha.

- Są wściekli, zwłaszcza że... A właśnie, zapomniałem ci powiedzieć. Wiemy już, kiedy Sammy Long przyjdzie nas posłuchać.

- Kiedy?!

Ona i Paul spędzali ze sobą ostatnio tyle czasu, ile tylko mogli, zabierał ją więc, kiedy spotykał się z kolegami, żeby poćwiczyć. Nie zmieniała wprawdzie opinii na temat muzyki, jaką uprawiali, lecz mimo to udzielił jej się ich zapał.

- W sobotę, o szóstej.

- To świetnie.

- Wcale nie.

Nie dalej jak wczoraj Paul zwierzył się jej, że zaczyna wątpić, czy do tego spotkania rzeczywiście dojdzie.

- Wiesz, jak to bywa - powiedział. - Facet dla świętego spokoju obiecuje, że nas posłucha, ale potem się okazuje, że nic z tego.

Martha pocieszyła go wtedy, mówiąc, że pewnie nie będzie tak źle, i poradziła, żeby myślał pozytywnie, ale w głębi duszy rozumiała jego obawy. Jeśli ten Sammy Long był rzeczywiście tak sławnym didżejem, mógł nie mieć czasu ani ochoty na zawracanie sobie głowy zespołem, w którym grało czterech licealistów.

- Nie cieszysz się? - spytała teraz.

- Nie będę mógł pojechać z tobą na lotnisko.

- Rzeczywiście. - Jej samolot odlatywał właśnie o szóstej.

- Strasznie mi przykro - powiedział Paul i było to słyhać w

jego głosie.

- Posłuchaj, może tak będzie nawet lepiej - pocieszyła go Martha.

- Lepiej? - zdziwił się.

- Gdybyśmy się rozstawali na lotnisku, stałoby się to w obecności mojej mamy. A ja wolałabym być z tobą sama, kiedy będziemy się żegnać.

- Ja chyba też.

- Te dwie czy nawet trzy godziny i tak nas nie zbawią.

- Może masz rację - powiedział Paul.

Martha usłyszała smutek w jego głosie. Podczas ostatniego tygodnia, zawsze kiedy popadała w podły nastrój, stawał niemal na głowie, by ją z niego wyciągać. Teraz poczuła, że tym razem ona powinna dodać mu sił.

- Kiedy wy zagracie przed Sammym Longiem - zaczęła pogodnym tonem - ja będę siedzieć w samolocie i nie pozostanie mi nic innego do roboty, poza trzymaniem za was kciuków. - Uświadomiła sobie, że w dodawaniu otuchy Paul był znacznie lepszy niż ona. - A co do przyjęcia, to nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Zadzwoiłam najpierw do ciebie. I jeśli wolisz ten ostatni wieczór spędzić tylko ze mną...

- A ty?

Martha nie odpowiedziała od razu. Zdażyła się już wprawdzie zapalić do urządzenia imprezy, ale Paul był dla niej ważniejszy. Wyobraziła sobie cudowny romantyczny wieczór we dwoje.

- Widzę, że masz ochotę na to przyjęcie. - W głosie Paula nie było jednak słycać żalu. - I rozumiem to. - Nie wiadomo, jakich ludzi tam poznasz, i kto wie, kiedy będziesz mogła się bawić.

Niedawno poskarżyła mu się na Bridget, która, choć wiedziała, że wyjazd Marthy jest już nieunikniony, wciąż roztaczała przed nią przygnębiające wizje życia na „zadupiu”. Paul najwyraźniej przypomniał to sobie teraz i szybko się zreflektował.

- Chyba opowiadam jakieś bzdury. Ludzie, których tam

poznasz, będą jak wszędzie, różni. Fajni, tacy sobie i beznadziejni. I na pewno nie raz pójdziesz na jakąś imprezę i będziesz się dobrze bawić.

W słuchawce zapanowała cisza. Martha była pewna, że wie, o czym jej chłopak myśli. O tym samym co ona, czyli o tym, o czym już kilka razy rozmawiali - że będą za sobą tęsknić, czekać na siebie, ale spróbują żyć normalnie i nie odetną się od świata i ludzi. Kiedy Martha przy okazji jednej z takich rozmów zapytała, gdzie jest granica tego normalnego życia, Paul popatrzył na nią poważnie i powiedział: „Tego chyba nie musimy ustalać, wydaje mi się, że oboje to wiemy”. Zgodziła się z nim, ale zdawała sobie sprawę, że kiedy już wyjedzie, zarówno ona, jak i on będą się czasami zastanawiać, czy dla obojga owa granica przebiega w tym samym miejscu.

- Taka dziewczyna jak ty będzie miała mnóstwo okazji do zabawy - odezwał się Paul, przerywając długie milczenie.

Martha usłyszała w jego głosie echa tamtych rozmów. Nie odbiła pałeczki i nie powiedziała, że, jeśli chodzi o okazje do zabawy, to on, tu w Bostonie, będzie w znacznie lepszej sytuacji niż ona, mieszkając dalej niż diabeł mówi dobranoc.

- Mówiłeś, że chłopcy z zespołu są wściekli o to, że nie chcesz z nimi w piątek poćwiczyć - powiedziała, nie chcąc wracać do tamtego tematu.

- Jakoś to przełkną.

- Pewnie tak, ale, szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię. Dzień przed takim wydarzeniem zostawiasz ich na lodzie.

Marcie zrobiło się ciepło koło serca, kiedy uzmysłowiła sobie, jak bardzo Paulowi na niej zależy. Zbliżające się przesłuchanie było dla niego na pewno równie ważne, jak dla pozostałych członków zespołu. A tymczasem, zamiast ćwiczyć, wolał być z nią.

Nagle po głowie Marthy zaczęła się błąkać pewna myśl.

- Wiesz co? Chyba znalazłam rozwiązanie dobre dla wszystkich.

- Zawsze wydawało mi się, że nie ma rozwiązań dobrych dla

wszystkich. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby moja genialna dziewczyna coś takiego odkryła.

- Najpierw mnie wysłuchaj, a potem się będziesz nabijał.

- Słucham cię, króliczku.

- A co byś powiedział na pożegnalną imprezę z muzyką na żywo?

- Nie, nie wierzę! - zawołał Paul. - Jesteś naprawdę genialna. Załatwiłaś Red Hot Chili Peppers! - Wiedział, że to jej ulubiony zespół. - Przyjadą do Bostonu i zagrają na twoim przyjęciu?

- Nie, mimo moich usilnych starań, nie udało mi się ich ściągnąć - odparła, wpadając w ten sam ton co Paul. - Ich menadżer poinformował mnie, że w przyszłym miesiącu zagrają u mnie z wielką przyjemnością, ale teraz są na tournée i nie mogą go przerwać.

- Ach, tak.

- Byłam odrobinę zawiedziona, ale właśnie próbuję załatwić inny zespół.

- R.E.M.?

- Nie, bardzo ich cenię, ale sam musisz przyznać, że zepsuliby mi całą imprezę. Wszystkich by pousypiali. Ale jest pewien zespół, przy którym z całą pewnością nikt nie zaśnie. Tylko, cholera, nie wiem, jak on się nazywa. Paul, dlaczego nie wymyśliliście jeszcze dla siebie żadnej nazwy?

- Chcesz, żebyśmy zegrali u ciebie na imprezie?

- Jasne - powiedziała Martha z przekonaniem.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że tak. Nie wiem tylko, czy nie byłoby kłopotów z przewiezieniem sprzętu.

- Nie, to żaden problem. Obawiam się natomiast, że mogą być kłopoty z twoimi sąsiadami.

- Pozostaw to mnie.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy zegrali na twoim pożegnalnym przyjęciu? - upewniał się dalej Paul. - Przecież ty nie lubisz tego rodzaju muzyki.

- Powiedziałaś ci to kiedyś? Albo dałam w jakiś sposób do

zrozumienia? - spytała.

- Nie. I między innymi za to cię kocham.

- Więc skąd o tym wiesz?

- Bo cię kocham.

Ktoś, kto nigdy nie był zakochany, być może uznałby tę odpowiedź za bezsensowną; Marcie wcale się taka nie wydała.

- Ale faktem pozostaje - ciągnął Paul - że nie przepadasz za taką muzyką, jaką gramy. Dlaczego więc po prostu nie puścisz kilku płyt CD?

- Bo wolałabym, żeby chłopcy się na ciebie nie wściekali - odparła. - A tak będziesz mógł im powiedzieć, że w ten sposób przygotowujecie się do spotkania z Sammym Longiem.

- Rozumiem.

- Bo nie chcę, żebyś ty miał do siebie pretensje, że zostawiłeś ich na lodzie tuż przed przesłuchaniem - kontynuowała Martha.

- No tak.

- Bo nie chcę, żebyś w końcu miał o to żal do mnie - wyliczała dalej.

- Aha.

- Bo...

- Bo co?

- Bo cię kocham'.

Martha, matka i jej siostra niemal cały czwartkowy wieczór i piątkowe przedpołudnie poświęciły na przygotowanie przyjęcia.

Kiedy padła propozycja zorganizowania go, Martha wyobraziła sobie imprezę z chipsami, zamówioną telefonicznie pizzą i napojami pitymi z plastikowych kubków. Matka jednak miała zupełnie inną wizję.

- Nie wiedziałam, że to ma być wersal - powiedziała Martha, kiedy mama opisała jej tę wizję.

- Nie będę się upierać, jeśli zechcesz inaczej - zastrzegła się matka. - To twoje pożegnanie i będzie tak, jak ty sobie tego życzysz.

- Nie chodzi o to, że chcę inaczej, ale kto to wszystko przygotowuje? Chcesz zamówić jedzenie przez firmę cateringową? Nie żal ci pieniędzy?

- Po co nam jakaś firma? Poradzimy sobie same.

- Mamo, przecież jedyne, co potrafisz, to ugotować jajka - powiedziała Martha. - Chociaż słowo „potrafisz” jest tu pewnym nadużyciem, ponieważ twoje półmiękkie zawsze są twarde, a miękkie mają takie glutu, że się robi niedobrze na sam widok.

- Aż tak we mnie nie wierzysz? - spytała mama, udając, że jest obrażona.

- Ależ wierzę, tylko wolałabym, żebyś na koniec nie potruła moich przyjaciół. Może się zdarzyć, że niektórych z nich długo nie spotkam, i nie chcę, żeby zachowali mnie w pamięci jako córkę współczesnej Lukrecji Borgii. Optymistycznie zakładam, że udałoby się im przeżyć.

Matka zrobiła minę pełną rezygnacji.

- No tak - rzuciła. - Tamta przynajmniej truła w jakimś celu.

Marcie podobał się ten typ poczucia humoru, jakim była obdarzona matka. Lubiała z nią żartować i czuła, że wkrótce będzie jej tego bardzo brakować. Nie miała pojęcia, jaki jest ojciec. Po tym, gdy stało się jasne, że będzie musiała z nim zamieszkać, kilka razy korciło ją, żeby o to zapytać, nigdy jednak tego nie

zrobiła. Dziś po raz pierwszy się zdecydowała. Właśnie chciała to zrobić, ale mama była szybsza i odezwała się pierwsza.

- Nie martw się. Nie potruję twoich gości. Kuchnią zajmie się Margaret. Już z nią o tym rozmawiałam.

Siostra matki była czarną owcą w rodzinie, w której ponoć od pokoleń wszystkie kobiety mogły się poszczycić tym, że czeokolwiek dotkną się w kuchni - czy to była pieczeń, placek, czy zwykła jajecznica - wszystko potrafią uczynić niejadalnym. Ciocia Margaret wyłamała się z rodzinnej tradycji i gotowała fantastycznie.

- No to jestem już trochę spokojniejsza - powiedziała Martha.

- Na którą zaprosiłaś gości? - spytała matka.

- Na siódmą - odparła Martha. - Dlaczego pytasz?

- Tak zwyczajnie. Po prostu. Chcę wiedzieć. Żeby mieć pewność, że wszystko będzie gotowe na czas.

Coś w twarzy matki, albo może ten potok słów u osoby, która nie tolerowała wielosłowa, wzbudziło czujność córki.

- Będiesz na przyjęciu? - spytała Martha, przyjrzawszy się jej uważnie. Wcale nie chodziło o to, że zależało jej na obecności matki. Która siedemnastolatka organizująca imprezę chciałaby, żeby rodzice, czy nawet jedno z nich, w tym czasie byli w domu?

- Żartujesz chyba! Nie jestem, a przynajmniej staram się nie być toksyczną matką - powiedziała, po czym unosząc głowę w geście udawanej dumy, dodała: - Jestem matką nowoczesną. Nie martw się, zostawię wam wolną chatę.

- Nowoczesną! - prychnęła Martha. - Mamo, „wolna chata” mówiło się za twoich czasów. Więc gdzie ta nowoczesność?

- A za twoich? Jak się to teraz określa? Bardzo jestem ciekawa.

Martha długo się zastanawiała, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- Chyba też „wolna chata” - odparła wreszcie.

- Widzisz! - zawołała matka z satysfakcją. - Przejmujecie nasze słownictwo!

- A tak poważnie, to gdzie pójdziesz? - spytała Martha, która

widziała, jak mama jest ostatnio zabiegana, i nie chciała, żeby się czuła wyrzucona z domu. - Do cioci Margaret?

- Nie wiem... może... Jeszcze się zastanowię. Matka zachowywała się dziwnie. Zawsze udzielała jasnych odpowiedzi, a teraz wyraźnie coś kręciła.

- Mamo, powiedz prawdę - poprosiła Martha.

- No, dobrze... Jestem w piątek wieczorem z kimś umówiona.

Martha przypomniała sobie, że przed kilkoma dniami podrzucił mamę do domu kolega z uniwersytetu. Wszedł na chwilę do domu, ponieważ chciał pożyczyć od mamy jakąś książkę.

- Z tym facetem, którego poznałam niedawno? - spytała Martha. - Z tym doktorem...

- Doktorem Graahamem - podpowiedziała jej matka i skinęła głową.

- Czy ty i on...? - Martha nie wiedziała, jak to sformułować.

Mama wyglądała rewelacyjnie, wszyscy dziwili się, że ma prawie dorosłą córkę, i mówili o niej jak o dziewczynie, a nie dojrzałej kobiecie. Dla Marthy była jednak przede wszystkim matką, nie mogła więc zapytać, czy chodzi z doktorem Graahamem.

Mama wybawiła ją z kłopotu.

- Spotykamy się.

- Dlaczego to przede mną ukrywałaś?

- Nie ukrywałam. Wolałam ci tego nie mówić, dopóki nie poczuje, że to jest coś poważnego.

- Ale mi powiedziałaś. - Martha nie odrywała od niej wzroku.

- Więc to jest coś poważnego.

Matka skinęła głową i przyjrzała się córce, próbując wyczytać z jej twarzy, jak zareagowała na tę wiadomość.

Martha właśnie się zastanawiała, czy doktor Graaham wybiera się z mamą do Peru. Nie należała do dziewcząt, które odmawiają swoim samotnym matkom prawa do ułożenia sobie życia, przygnębiła ją jednak myśl, że mama i jej przyjaciel może będą razem, podczas gdy ją czeka rozłąka z Paulem.

- Czy on leci z tobą? - spytała.

Zanim matka zdążyła otworzyć usta, Martha, widząc smutek w jej oczach, wiedziała, że odpowiedź będzie przecząca.

- Nie, Peter jest antropologiem. Nie ma nic wspólnego z projektem badawczym w Peru.

- Mamo, czy... - Chwilę się wahała, czy wypada zadać takie pytanie, ale w końcu się odważyła. - Jesteś w nim zakochana?

- Tak mi się wydaje - odparła matka i zaraz się poprawiła: - Tak.

- No to jedziemy na tym samym wózku - skwitowała Martha, uśmiechając się.

Po raz pierwszy od tamtej rozmowy w restauracji spojrzała na nią bez cienia wyrzutu.

- Szanowni państwo, za dziesięć minut wylądujemy w Minneapolis - poinformowała stewardesa. - Proszę zapiąć pasy, ustawić pionowo oparcia i zamknąć stoliki.

Jej rzeczowy ton wyrwał Marthę z zamyślenia. Przez dwie i pół godziny lotu myślała o tym, co zostawiła w Bostonie, o mamie, domu, szkole, koleżankach i kolegach, pożegnalnym przyjęciu, które fantastycznie się udało, i o Paulu.

O nim myślała przede wszystkim.

Zamykając oczy, próbowała przywołać w pamięci chwile, kiedy tańczyli mocno przytuleni. Na szczęście on i jego koledzy robili przerwy w graniu, podczas których leciała muzyka z CD, i Martha mogła zatańczyć ze swoim chłopakiem.

Aż ścisnęło ją w dołku, kiedy przypominała sobie czułe słowa, które szeptał jej do ucha wczoraj w tańcu i dzisiaj, gdy się żegnali. A kiedy przywołała w pamięci ostatni pocałunek, do oczu napłynęły jej łzy.

Samolot zaczął schodzić do lądowania.

Dopiero kiedy zareagowało na to jej ciało - uciskiem w uszach i wrażeniem, że żołądek podchodzi do gardła - oderwała się od myśli o tym, co zostawiła, i próbowała sobie wyobrazić, co ją czeka.

Siedziała przy przejściu, przechyliła się więc lekko w stronę okna. Dzień był bezchmurny, a słońce jeszcze nie zaszło, zatem istniała szansa, że coś zobaczy.

Siedząca przy oknie kobieta dostrzegła jej ruch i przywarła plecami do oparcia, żeby odsłonić widok.

- Dzięki. - Martha uśmiechnęła się do niej uprzejmie.

- Pierwszy raz w Minneapolis? - spytała nieznajoma.

- Tak, pierwszy raz w Minnesocie - uściśliła Martha.

- Nie jesteśmy w Minnesocie.

- Jak to? Przecież schodzimy do lądowania.

- To prawda. Ale nie przelecieliśmy jeszcze nad rzeką - powiedziała kobieta. - Wciąż mamy ją po lewej.

Martha domyśliła się, że widzi w dole Missisipi, mimo że w niczym nie przypominało szerokiej na parę kilometrów rzeki, którą zapamiętała z zeszłorocznej wycieczki do Luizjany.

- Missisipi oddziela Minnesotę od Wisconsin - wyjaśniła kobieta.

- No tak, rzeczywiście - powiedziała Martha takim tonem, jakby o tym doskonale wiedziała.

Prawda natomiast była taka, że nawet jeśli kiedyś uczyła się tego na geografii, już dawno wyparowało jej to z głowy. A w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miała ani czasu, ani ochoty, żeby dowiadywać się czegoś o stanie, do którego się przeprowadzała.

- Lecisz do kogoś w odwiedziny? - zaciekała się jej współpasażerka.

Martha udawała, że nie usłyszała tego pytania, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to nieuprzejme wobec tej miłej pani.

- Można tak powiedzieć - odparła.

Albo było coś w jej głosie, albo w wyrazie twarzy, w każdym razie kobieta na jakiś czas zamilkła.

Dopiero kiedy koła samolotu dotknęły pasa startowego, popatrzyła uważnie na Marthę i spytała:

- Dobrze się czujesz?

- Tak - wykrztusiła dziewczyna.

- Bardzo zbladłaś. Bałaś się lądowania, prawda? Martha skinęła głową.

- Przyznam ci się, że ja również. Ale na szczęście mamy to już za sobą.

Martha lubiła podróżować samolotami i nigdy nie bała się ani startu, ani lądowania; znosiła świetnie nawet mocne turbulencje. Nie wyprowadziła jednak współpasażerki z błędu.

Czy mogła opowiedzieć obcemu człowiekowi, że za chwilę spotka się z innym obcym człowiekiem, który jest jej ojcem?

Martha stanęła w hali przylotów i zaczęła się rozglądać. Sama nie wiedziała, czego się boi bardziej - tego, że ojciec z jakiegoś powodu jej nie odbierze i zostanie sama, w obcym mieście, zdana wyłącznie na siebie, czy tego, że za chwilę go zobaczy.

Kiedy poprzedniego dnia spytała mamę, jak odnajdą się na lotnisku, ta uspokoiła ją, mówiąc, że ojciec ją rozpozna. Martha, nie wnikając, skąd ta pewność, uwierzyła matce. Teraz zastanawiała się, czy nie popełniła błędu.

Minneapolis, jak zdążyła wyczytać na tablicach informacyjnych, kiedy czekała na odbiór bagażu, mimo że to stolica stanu, jest miastem niewielkim, zatem lotnisko również nie należy do dużych.

W hali przylotów było dosyć pusto. Martha zaczęła się przyglądać wszystkim mężczyznom między czterdziestką i pięćdziesiątką.

Jeden szczególnie przykuł jej uwagę. Nie dałaby mu wprawdzie więcej niż trzydzieści pięć lat, ale pomyślała, że ojciec może się dobrze trzymać. Ten był niezwykle przystojny, a uważała, że facet, który porzucił tak atrakcyjną kobietę jak jej matka, musi być równie przystojny, jak George Clooney. Mężczyzna, któremu się przyglądała, był nawet do niego trochę podobny. I wyraźnie na kogoś czekał.

Tyle że to nie był jej ojciec. Właśnie kiedy chciała podejść do przystojniaka, podbiegła zgrabna, ładna blondynka i rzuciła mu się na szyję.

Ta czule witająca się para do tego stopnia zaabsorbowała uwagę Marthy, że nie dostrzegła innego mężczyzny, który stał kawałek dalej, przez chwilę jej się przypatrywał, a potem ruszył do niej niepewnym krokiem.

- Martha...?

Zgodnie z tym, co widziała w filmach, powinna teraz powiedzieć „Tata...” i paść w jego objęcia, ale nie była bohaterką

melodramatu, i to słowo nie chciało jej przejść przez usta.

Ani on nie był amantem filmowym. Wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała.

Mama, ze swoją wciąż dziewczęcą powierzchownością, bardzo odstawała od matek jej koleżanek i kolegów, on tymczasem - z dosyć zaawansowaną łysiną i niewielkim wprawdzie, ale jednak rysującym się pod koszulą brzuchem - wyglądał jak większość ojców rówieśników Marthy.

- Tak, to ja - powiedziała łamiącym się głosem.

Zrobił taki ruch, jakby chciał wyciągnąć do niej rękę, ale zauważył, że Martha się cofa, i je opuścił. Była mu za to wdzięczna.

- Poznałbym cię, nawet gdyby mama nie przysłała mi mailem twojego zdjęcia.

- Nie wiedziałam, że ci wysłała.

- Nie chciałem, ale się uparła. Bała się, że rozminiemy się na lotnisku.

Martha zwróciła uwagę, że ma niski głos o bardzo przyjemnej barwie.

- Pewnie miała rację. Jak mógłbyś mnie rozpoznać, skoro ostatnio widziałeś mnie, kiedy miałam cztery lata? - Zanim skończyła, zorientowała się, że jej słowa musiały zabrzmieć jak wyrzut.

- Poznałbym cię po oczach.

Nawet w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy oczy - jako atrybut urody - bardzo straciły na znaczeniu na rzecz innych elementów kobiecej anatomii, Marcie wciąż wydawały się ważne. Zwłaszcza po tym, gdy Paul powiedział jej, że kiedy się poznali, najpierw zwrócił uwagę na jej duże szarozielone oczy.

Teraz dopiero dowiedziała się, że ma je po ojcu.

- Wyglądasz tak, jak sobie ciebie zawsze wyobrażałem - dodał.

Odwrotnie niż ja, pomyślała Martha, ale powstrzymała się przed wyrażeniem głośno tej opinii. Obiecała mamie, że - na ile to będzie możliwe - postara się zachowywać cywilizowanie i nie

provokować konfliktów.

- Tylko... - Przerwał i pokręcił głową.

- Tylko co?

- Zawsze myślałem o tobie jak o dziewczynce.

Poczuła ukłucie w sercu, kiedy to usłyszała. Myślał! Nawet zakładając, że rzeczywiście tak było, to szkoda, że tylko na tym się skończyło.

- A tymczasem jesteś już prawie kobietą.

- Trzyście lat to dużo czasu. - Jej słowa znowu zabrzmiały jak wyrzut, ale tym razem również nie było to zamierzone.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Patrzyli na siebie. On nie próbował ukryć, że się jej przygląda; Marcie wydawało się to krępujące i chwilami umykała wzrokiem w bok.

- Zmęczona po podróży?

- Trochę - skłamała.

Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiało dojść między nimi do jakiejś poważnej rozmowy, ale wolała ją odwlec. Przed kilkoma godzinami tuliła się do swojego chłopaka i wciąż jeszcze czuła na ustach smak jego pocałunków. Bała się, że rozmowa z ojcem zatrze to cudowne wspomnienie.

- No to chodźmy - powiedział. - Czeka nas jeszcze kilka godzin drogi do domu.

Do jednej ręki wziął smycz walizki, drugą położył delikatnie na ramieniu Marthy.

Poczuła, że cała się spina. Najpierw pomyślała, że to przez dotyk jego dłoni, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że chodzi o coś innego.

Że to słowo „dom” wywarło u niej tak silną reakcję.

Dom zostawiła w Bostonie, a miejsce, w którym znajdzie się za parę godzin, nigdy nie będzie jej domem.

Około trzydziestu kilometrów na północ od Minneapolis utknęli w korku.

- Nie przypuszczałam, że tu mogą być korki - wyraziła zdziwienie Martha.

Do tej pory prawie się nie odzywała; ograniczała się do zdawkowych odpowiedzi na pytania ojca, który w końcu zauważył jej brak chęci do rozmowy i również niewiele mówił.

- Bo zwykle nie ma - powiedział. - Prawdopodobnie był jakiś wypadek.

- Pewnie tak - bąknęła i w samochodzie znów na kilka długich minut zapanowała cisza.

- Może puścić jakąś muzykę? - zaproponował.

- Okej - zgodziła się Martha. - Wygląda na to, że utknęliśmy tu na dobre.

Rzeczywiście, od pół godziny nie poruszyli się nawet o metr.

Ojciec przez chwilę naciskał guziki odtwarzacza CD, aż wreszcie trafił na płytę, o którą mu chodziło.

- Może być? - spytał.

- Czy może być...?

- Nie podoba ci się?

Już sięgał do przycisku, żeby zmienić płytę, ale w porę go powstrzymała.

- Nie, zostaw! R.E.M. to mój ulubiony zespół. Martha popatrzyła na ojca kątem oka. W jej głowie zrodziło się pewne podejrzenie. Czyżby wiedział o niej więcej, niż przypuszczała? Skoro nie miała pojęcia, że mama wysłała mu jej zdjęcie, mogła nie wiedzieć również o innych sprawach, na przykład o tym, co o niej powiedziała.

- Naprawdę lubisz R.E.M.?

- Uwielbiam ich.

Albo był dobrym aktorem, albo jego zaskoczenie było autentyczne.

- Masz gust - pochwalił ją.

- Dlaczego powiedziałeś to takim tonem, jakbyś się temu dziwił?

- Tak to zabrzmiało? - spytał, ale wiedziała, że chciał się wymigać od odpowiedzi.

- Bo myślałeś, że skoro mamie słoń nadepnął na ucho, to ze mną jest podobnie?

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie. - Sądziłem po prostu, że twoje pokolenie słucha muzyki zupełnie innego rodzaju.

Martha teraz nie spoglądała na niego kątem oka, tylko patrzyła otwarcie, domagając się szczerzej odpowiedzi.

- Masz rację - przyznał w końcu. - Właśnie to pomyślałem.

- A może... - zaczęła Martha.

- Iak?

- Chyba ci przed nami ruszyli - zauważyła.

- Wreszcie! - zawołał i włączył silnik.

Nie ujechali jednak więcej niż dwadzieścia metrów i znów stanęli.

Martha sądziła, że ojciec nie pamięta, na czym skończyli, ale się myliła.

- Może co? - spytał.

- Zastanawiam się, czego dowiedziałeś się o mnie od mamy.

Ojciec wyjął ze schowka na napoje puszkę coca - coli.

- Napijesz się? - zaproponował.

Rzadko pijała colę; jeśli już, to niskokaloryczną.

- Nie masz wody? - spytała. Zajrzał do schowka.

- Jest tylko sprite i ginger ale.

Domyśliła się już, w jaki sposób dorobił się brzucha.

- Nie, dziękuję - rzuciła, ale po pierwsze, była spragniona, a po drugie, już całe wieki nie piła nic poza herbatą i niegazowaną wodą mineralną, więc zmieniła zdanie. - Może ginger ale.

Wyjął ze schowka puszkę i jej podał.

- Dziękuję.

- A co do twojego pytania... - powiedział. Zaskoczył ją. Była niemal pewna, że napoje były tylko wybiegiem, żeby uniknąć odpowiedzi.

- Kiedy ustaliliśmy z mamą, że na jakiś czas ze mną zamieszkas, wypytywałem ją o ciebie.

Popatrzył na Marthę, jakby oczekiwał, że jakoś to skomentuje. Ona jednak milczała.

- Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że chciałem o tobie wiedzieć jak najwięcej.

- I czego się dowiedziałeś?

- W tym sęk, że prawie nic. Twoja mama uważała, że sam powinienem odkryć, jaka jesteś.

- I nic ci o mnie nie powiedziała? - nie mogła uwierzyć Martha.

- Niewiele.

- Czyli?

- Właściwie tylko tyle, że nie jesteś zadowolona z tego, że musisz wyjechać z Bostonu, że masz chłopaka...

- O rany! - zawołała Martha.

Umówiła się z Paulem, że zaraz po spotkaniu z Sammym Longiem zadzwoni do niej na komórkę i opowie, jak im poszło.

W samolocie przez cały czas trzymała za niego kciuki i myślała o tym, że kiedy tylko wyląduje, włączy komórkę, którą na czas lotu musiała wyłączyć.

Jak mogła o tym zapomnieć?!

Sięgnęła na tylne siedzenie po plecak i zaczęła go nerwowo otwierać.

- Coś się stało? - zaniepokoił się ojciec.

- Która jest godzina? - spytała Martha.

- Wpół do jedenastej.

Żadne z nich nie zauważyło, że samochody przed nimi ruszyły. Zorientowali się dopiero wtedy, gdy kierowca z tyłu nacisnął klakson.

Tym razem udało im się ujechać co najmniej pięćdziesiąt metrów, zanim znowu stanęli. Martha w tym czasie wyjęła z plecaka komórkę, włączyła ją i wstukała PIN. Na ekraniku wyświetlił się napis: „Podano nieprawidłowy PIN”.

To niemożliwe, pomyślała i drżącymi palcami wstukała po raz drugi. I znów się pomyliła. Jeśli po raz trzeci się pomyłę, komórka się zablokuje i co najmniej do jutra nie będę miała kontaktu z Paulem, pomyślała przerażona.

- Spokojnie - powiedział, ojciec, który zauważył jej zdenerwowanie. - Pomyliłaś PIN, prawda?

- Jestem pewna, że wstukałam prawidłowy.

- Zaczekaj chwilę - powstrzymał ją, widząc, że Martha chce naciskać klawisze komórki. - Bo ją zablokujesz.

- Właśnie tego się obawiam.

- Więc odetchnij głęboko i spróbuj sobie przypomnieć te cztery cyfry.

- Ale ja je przecież pamiętam. Dwadzieścia siedem, pięćdziesiąt dziewięć.

- Na pewno?

W jego głosie było coś takiego, że na Martha poczuła, jak uchodzi z niej stres i spływa na nią spokój.

- No nie! Pokręciłam. Jest odwrotnie. Pięćdziesiąt dziewięć, dwadzieścia siedem.

- Zapalę ci światło - zaproponował ojciec.

- Dzięki.

Tym razem PIN został przyjęty. Po chwili wyświetliło się okienko „Nowe zdarzenia” informujące o tym, że ma pięć wiadomości nagranych na poczcie głosowej.

„To ja, mama. Zastanawiam się, czy już doleciałaś. Odezwij się, kiedy tylko będziesz mogła. Pa, całuję”.

„To znowu ja. Powinnaś już pół godziny temu być na miejscu, a wciąż masz wyłączoną komórkę. Nie wiem, co o tym myśleć. Daj znać, czy wszystko w porządku”.

„Cześć, króliczku. To ja, Paul. Uf! Już po wszystkim. Sammy Long powiedział, że przed nami jeszcze długa droga, ale, według niego, tkwi w nas pewien potencjał. Dał nam kilka wskazówek. Zdziwisz się, kiedy się dowiesz jakich. Zadzwoń jeszcze. Na razie, całuję”.

„Martha...? Naprawdę zaczynam się niepokoić. Nie mam pojęcia, czy doleciałaś i czy ojciec cię odebrał”.

„Już za tobą tęsknię, króliczku. Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie tyle miesięcy, skoro pierwszego wieczoru tak mi ciebie brakuje”.

Odsłuchawszy wiadomości, Martha, wiedząc, że z mamą nie będzie musiała rozmawiać długo, zadzwoniła najpierw do niej.

Chciała wcisnąć numer Paula, ale zerknęła kątem oka na ojca i się powstrzymała. Nie wyobrażała sobie, jak będzie przy nim rozmawiać ze swoim chłopakiem.

Albo jej spojrzenie było bardzo wymowne, albo potrafił czytać w jej myślach.

- Wiesz, przewietrzę się trochę - powiedział i wyszedł z samochodu. - Kto wie, jak długo jeszcze będziemy tu stać.

Paul zgłosił się po pierwszym sygnale. Najwyraźniej czekał na jej telefon i miał komórkę pod ręką.

- Cześć, króliczku. Już się bałem, że cię dzisiaj nie usłyszę.
Nie chciała, by myślał, że o nim zapomniała.

- Na lotnisku wołałam nie włączać komórki, a potem czekałam, aż na chwilę zostanę sama - powiedziała.

Zdawała sobie sprawę, że to kłamstwo, ale tłumaczyła sobie, że kłamstwo w dobrej wierze. Po co sprawiać przykrość komuś, kogo się kocha, skoro można tego uniknąć?

- Jesteś już na miejscu? - spytał Paul.

- Nie, siedzę w samochodzie. Utknęliśmy w korku - wyjaśniła Martha. - Nie ujechaliśmy więcej niż trzydzieści kilometrów od Minneapolis, a do... - słowo dom nie chciało jej przejść przez gardło - a tam trzeba jechać ponad dwieście pięćdziesiąt.

- Siedzisz w samochodzie sama? - zdziwił się Paul.

- Wysiadł na chwilę - odparła cicho. Ojciec stał niedaleko, nie była więc pewna, czy jej nie słyszy.

- Jaki on jest?

- Nie wiem, znam go przecież od niecałych dwóch godzin. Na pewno zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam. Ale o mnie porozmawiamy kiedy indziej. Opowiadaj, jak wam się udało przesłuchanie. Co powiedział Sammy Long?

- Jeśli któryś z nas czterech liczył na to, że Sammy Long po dzisiejszym spotkaniu poleci nas jakiejś wytwórni płytowej... Zresztą on nie musiałby polecać, ma własną. W każdym razie, jeśli któryś z chłopaków miał taką nadzieję, to po tym, co powiedział Sammy Long, musiał być bardzo rozczarowany.

- A ty? - spytała Martha. - Jesteś rozczarowany?

- Nie - odparł Paul i jego odpowiedź zabrzmiała szczerze. - Po pierwsze, słuchał nas ponad czterdzieści pięć minut. Jeśli bylibyśmy całkiem do kitu, wyszedłby po kwadransie.

- Masz rację - zgodziła się z nim Martha. - Nie poświęciłby wam tyle czasu, gdyby nie dostrzegł w was możliwości.

- Też tak pomyślałem. Poza tym udzielił nam kilku wskazówek.

- Właśnie! Kiedy się nagrywałeś na poczcie głosowej,

napomknęłaś, że się zdziwię - przypomniała sobie.

Paul roześmiał się.

- No, mów - ponagliła go Martha. - Co takiego powiedział?

- Że perkusja jest za głośna, keyboard ma rozdzierający dźwięk, w gitarze solowej jest za mało wirtuozerii, a basistę trzeba zmienić.

- Nabierasz mnie! Przecież to są moje słowa. Chyba dokładnie tak mówiłam dwa tygodnie temu, kiedy pytałeś, co sądzę o waszym graniu?

- Tak.

- I mam uwierzyć, że Sammy Long użył tych samych słów?

- Nie, tego nie powiedziałem. Padły chyba jakieś inne.

- Jakie? - dopytywała się Martha.

- Nie pamiętam.

- Pamiętasz, co ja mówiłam dwa tygodnie temu, a nie możesz sobie przypomnieć, co dzisiaj powiedział Sammy Long?!

- Ty chyba potrafiłaś to precyzyjniej sformułować - odparł Paul. - A poza tym... Ciebie kocham, a jego nie. Wiesz, jaki on jest strasznie brzydki?! Ale obiecał, że za kilka miesięcy przyjdzie nas posłuchać jeszcze raz.

- To fantastycznie - ucieszyła się Martha. Zerknęła za okno i zobaczyła, że ojciec przestępuje z nogi na nogę i pociera ramiona, próbując się w ten sposób rozgrzać. Nic dziwnego, że było mu zimno - miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, a termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał, że na zewnątrz jest czternaście stopni.

- Paul, chyba nie będę mogła za długo rozmawiać - powiedziała. - Przepraszam.

- Nie ma za co. I tak się cieszę, że cię usłyszałem. Zadzwoń do ciebie jutro i ustalimy, jak będziemy się dalej kontaktować, dobrze?

- Dobrze.

- Daj mi może znać, kiedy dojedziesz na miejsce - poprosił.

- Ale to będzie środek nocy.

- Nie szkodzi. Przyślij mi esemesa. Zrobi mi się lepiej, kiedy

rano wstanę i będę miał od ciebie wiadomość.

- Na pewno wyślę - obiecała Martha.

- Kocham cię.

- Ja też cię bardzo kocham.

- Pa, króliczku, do jutra.

- Pa.

Zamknęła klapkę komórki, włożyła ją do plecaka i spojrzała na ojca. Coraz energiczniej przestępował z nogi na nogę, ale stał odwrócony plecami, nie widział więc, że skończyła rozmowę.

- Zamarzniesz, jeśli jeszcze trochę postoisz na zewnątrz - powiedziała, stukając w szybę.

Uśmiechnął się, wszedł do samochodu, włączył silnik i nastawił klimatyzację na dwadzieścia trzy stopnie.

- Dzięki - wymknęło się Marcie.

- Za co?

- Wiem, że nie chodziło ci o to, żeby pooddychać świeżym powietrzem, tylko chciałeś mi dać trochę prywatności.

Nie zaprzeczył.

- Dzwoniłaś do swojego chłopaka, prawda? Martha skinęła głową.

Znów zapadło milczenie, ale nie było w nim już tego nieprzyjemnego napięcia, które jeszcze przed kwadranssem czuła każdą cząstką ciała.

Ojciec odezwał się pierwszy.

- Chyba też powinienem zadzwonić - powiedział. - Cecylia będzie się martwić, że nie ma nas tak długo.

- Chcesz, żebym wyszła? - zaproponowała Martha.

- Nie żartuj.

- Ale ja też chętnie rozprostuję kości.

- Nie wychodź, przeziębisz się.

Potem, kiedy usłyszała, jak rozmawia z żoną i mówi do niej „kochanie”, żałowała, że jednak nie wysiadła z samochodu.

Martha poczuła intensywny zapach. Był cudowny. Jeszcze nie całkiem przytomna, uświadomiła sobie, że to zapach świeżego drewna. Był tak zniewalający, że długo nie otwierała oczu, nie chcąc budzić do życia innych zmysłów poza węchem.

Ale nie zatkała sobie uszu i po chwili o swoim istnieniu przypomniał słuch, który zarejestrował ciszę, jakiej nie słyszała nigdy dotąd.

Długo trwało, zanim przypomniała sobie, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Kiedy wreszcie, po prawie czterogodzinnym staniu w korku i przejechaniu ponad dwustu kilometrów, dotarli na miejsce, była trzecia w nocy.

- Może coś zjesz? - zaproponował ojciec. - Cecylia zostawiła dla nas kolację.

Martha skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie jest głodna, ale bardziej niż jeść chciało jej się spać.

- Najchętniej położyłabym się od razu do łóżka - powiedziała.

- W takim razie zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Powlokła się za ojcem na pierwsze piętro.

- To tutaj - oznajmił, zatrzymując się przed drzwiami na końcu korytarza.

Wszedł pierwszy do pokoju i zapalił światło. Niepewnie podążyła za nim.

- Nie wiem, czy jest tu wszystko, co będzie ci potrzebne - rzekł, spoglądając na nią pytająco.

Martha rozejrzała się. Pomieszczenie było wielkie; na ile zdążyła się zorientować, zajmowało połowę pierwszego piętra i raczej przypominało studio niż pokój. Mebli było niewiele - wnękowa szafa, łóżko i stojąca przy nim niska komoda, która mogła również pełnić funkcję nocnego stolika, fotel i biurko, na którym stał komputer.

- Jeśli się okaże, że czegoś brakuje, to jutro pomyślimy co z

tym zrobić.

- Wydaje mi się, że jest wszystko - powiedziała Martha zmęczonym głosem.

Najbardziej się ucieszyła, że będzie miała do swojej dyspozycji komputer.

- O, są już paczki - zauważyła. W kącie pokoju stały pudła, które przed kilkoma dniami razem z matką zawiozły na pocztę.

- Przyszły wczoraj. - Ojciec rzucił okiem na pokój. - Myślę, że dzisiaj sobie jakoś poradzisz, a nad resztą będziemy się zastanawiać, gdy się porządnie wyśpisz.

Martha skinęła głową.

- Może jednak miałabyś ochotę coś zjeść?

- Chce mi się tylko spać.

- W takim razie cię zostawię - powiedział, ale nie ruszył się z miejsca. - Na pewno niczego nie potrzebujesz?

- Nie.

- Sprawdzę tylko, czy Cecylia zostawiła ci czyste ręczniki.

Oprócz drzwi do przedpokoju, były jeszcze jedne i tak, jak Martha się domyśliła, prowadziły do łazienki.

Ojciec zajrzał tam.

- Wygląda na to, że wszystko jest.

- Dzięki - powiedziała.

- W takim razie dobranoc. Śpij dobrze i zapamiętaj, co ci się śniło - poradził jej.

- A jeśli to będzie jakiś koszmarny sen?

- Wtedy natychmiast o nim zapomnij.

- Postaram się tego nie pokręcić.

- Na pewno przyśni ci się coś przyjemnego. Dobranoc.

- Dobranoc.

Wychodząc, dotknął lekko jej ramienia.

Była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać, ale nie miała już wrażenia, że to dotyk całkiem obcego człowieka.

Nie chciało jej się rozpakowywać walizki, wyjęła z niej tylko piżamę i torbę z kosmetykami, szybko wzięła prysznic, umyła zęby i ledwie się położyła, zasnęła.

Nie musiała się przejmować, że pokręci wskazówki co do snu, których udzielił jej ojciec. Nic jej się nie śniło. Albo spała tak twardo, że nic nie pamiętała.

Kiedy otworzyła oczy, odruchowo spojrzała na komódkę przy łóżku. W Bostonie na jej nocnej szafce stał budzik. Tu go nie było, a zegarek, który zdjęła w nocy przed myciem, zostawiła w łazience.

Nie miała pojęcia, która jest godzina, a nie chciało jej się jeszcze wstawać.

W domu panowała cisza, więc może było jeszcze na tyle wcześnie, że nikt nie wstał.

Martha przeciągnęła się na łóżku. Pościel pachniała lawendą i była lekko szeleszcząca. Znała ten przyjemny szelest, ponieważ czasami nocowała u dziadków i tam było podobnie. Od babci dowiedziała się, że pościel wydaje ten miły dźwięk, kiedy jest wyprasowana. W domu Marthy nie zwracano sobie głowy czymś takim jak prasowanie. Pościel wrzucało się do pralki, potem do suszarki i koniec.

W oknach były żaluzje, ale idąc spać, nie pomyślała, żeby je zaciągnąć. Pokój tonął w słońcu. Przyjrzała mu się i zwróciła uwagę na szczegóły, które w nocy umknęły jej uwagi - na to, że sosnowe meble są zupełnie nowe i nie sprawiają wrażenia kupionych w sklepie, lecz zrobionych przez jakiegoś miejscowego cieśla. Misterne zdobienia drzwi szafy i komody wskazywały na to, że ów cieśla był artystą.

Na biurku stał gliniany, ręcznie malowany wazon, z bukietem polnych kwiatów.

Martha nadstawiała uszu, wydało jej się bowiem, że na dole zapanował jakiś ruch. Bardziej go wyczuła niż usłyszała. Postanowiła pójść do łazienki i sprawdzić, która godzina. Właśnie się podnosiła, kiedy na schodach rozległ się tupot nóg.

- Trisha! - zawołał ktoś stłumionym głosem, tak jakby chciał być słyszany, ale równocześnie nie za głośny. - Po co tam biegiesz? Obudzisz Marthę.

Cichy drobny tupot dochodził teraz z korytarza na piętrze.

Ktoś stał przed jej pokojem.

Martha nie była jeszcze gotowa na spotkanie z kimkolwiek. Położyła się z powrotem i przykryła twarz ręką.

Usłyszała, że ktoś delikatnie naciska klamkę i uchylają się drzwi.

Leżała bez ruchu, nic nie widziała, była jednak pewna, że ktoś jest w pokoju. Nie tylko tam był, ale stał tuż przy łóżku.

Zaczęła bardzo wolno rozsuwać palce dłoni, którą zasłoniła twarz, próbując między nimi dojrzeć intruza. Najwyraźniej robiła to jednak nie dość ostrożnie, bo intruz się zorientował.

- Widzę cię! - zawołał dziecięcym głosem.

Martha odsunęła rękę od twarzy i zobaczyła przyglądającą się jej pięć - może sześćioletnią dziewczynkę.

- Cześć - powiedziała zaskoczona.

- Cześć - odparła mała, lekko sepleniąc. Prawdopodobnie z powodu braku górnych mlecznych jedynek. - A ja wiem, kto ty jesteś! - pochwaliła się.

- Tak?

- Jesteś Martha, moja siostra.

Słyszała od matki, że ojciec ma dziecko, nie miała jednak pojęcia, w jakim jest wieku. Nie wiedziała nawet, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Przez ostatnie dwa tygodnie dużo myślała o tym, jak będą się układały jej stosunki z ojcem i jego rodziną, i powzięła pewne postanowienie. Tak jak obiecała mamie, będzie się zachowywać jak kulturalny cywilizowany człowiek, ale nic więcej. Żadnych serdeczności, żadnego zaprzyjaźniania się, nic z tych rzeczy.

Ale kiedy dziewczynka się uśmiechnęła, Martha poczuła jak jej postanowienie - przynajmniej w odniesieniu do tej małej - rozsypuje się na kawałki. Wiedziała, że nie będzie w stanie jej nie polubić.

- Trisha! - W drzwiach pokoju stanął ojciec. - Mama prosiła cię, żebyś nie budziła Marthy.

- Nie obudziłam jej. Weszłam tu na paluszkach. Chciałam ją tylko zobaczyć.

- Dzień dobry - powiedział, widząc, że Martha już nie śpi.

- Dzień dobry. To prawda, była bardzo cichutka - potwierdziła słowa Trishy. - A ja rzeczywiście już nie spałam.

- Jest prawie południe - rzekł ojciec. - Ja też wstałem niedawno. Zejdiesz na śniadanie? - spytał. - Trisha i Cecylia są na nogach od kilku godzin, więc już jadły, ale ja pomyślałem, że może zjemy razem.

Martha w pierwszym odruchu chciała poprosić, żeby na nią nie czekał, przypomniała sobie jednak o obietnicy danej mamie i uznała, że będzie uprzejmiej, jeśli pierwsze niedzielne śniadanie zje z ojcem.

- Zejdę za kilka minut - powiedziała.

- Chodź, Trisha. - Wziął małą za rękę i chciał wyprowadzić z pokoju. - Martha musi się teraz umyć i ubrać.

Dziewczynka jednak zatrzymała się w progu.

- Podobają ci się kwiatuszki? - spytała, pokazując palcem bukiet na biurku.

- Bardzo.

- Sama je dla ciebie zerwałam.

- Dziękuję. Są prześliczne.

I jak tu jej nie lubić? - pomyślała Martha, kiedy została sama.

Dopiero teraz Martha uświadomiła sobie, jak bardzo się obawiała spotkania z żoną ojca.

Za chwilę ją poznam, pomyślała, idąc wolno po schodach. Przypomniały jej się wszystkie bajki o złych macochach.

Zatrzymała się na najniższym stopniu, próbując odwlec ten moment, ale przybiegła Trisha i chwyciła ją za rękę.

Trudno, powiedziała sobie Martha. Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle. Może nie będę musiała oddzielać maku od popiołu.

Podobnie jak kiedyś wyobrażała sobie, że mężczyzna, który odszedł od tak atrakcyjnej kobiety jak jej matka, musi mieć urodę amanta filmowego, tak teraz myślała, że ta, dla której ją zostawił, jest siódmym cudem świata.

Myliła się w obu wypadkach.

Kiedy weszła do kuchni, Cecylia siedziała przy stole nad filiżanką kawy. Była bardzo drobną, niewysoką kobietą, o przyjemnej twarzy, ale raczej nie można było o niej powiedzieć, że jest piękną. Jedyne, co miała niezwykle, to włosy - długie do pasa, gęste pukle o miodowej ciepłej barwie. I oczy. Tak, oczy miała jeszcze bardziej niezwykle - jasnoszare i było w nich coś niepokojącego.

- Cecylio, to jest Martha - powiedział ojciec. - Martho, to jest Cecylia.

Prezentacja wypadła dosyć sztywno, Martha jednak tego nie usłyszała. Nie odrywała wzroku od jego żony, która wstała od stołu i wolno, drobnymi posuwistymi krokami szła w jej stronę.

Dziwne oczy Cecylii tak przykuły uwagę Marthy, że zapominając o dobrym wychowaniu, stała w miejscu. Tamta zatrzymała się pół metra przed nią, podniosła dłoń i dotknęła jej twarzy.

Martha chciała się cofnąć, powstrzymała się jednak, bo wreszcie zrozumiała, dlaczego dostrzegła w jej oczach coś niepokojącego.

Cecylia była niewidoma.

To nie fair, pomyślała Martha. Najpierw ta słodka Trisha, której nie sposób nie lubić, a teraz ona! Nie jestem takim potworem, żeby żywić niechęć do biednej niewidomej kobiety.

- Witaj, Martho - powiedziała Cecylia. Jej palce wędrowały po twarzy dziewczyny, potem przesunęły się na włosy. - Masz takie same włosy jak Trisha.

Martha zerknęła na siostrę i przyznała jej rację.

- I jesteś bardzo zaskoczona - ciągnęła Cecylia. - Nie wiedziałaś, że jestem niewidoma, prawda?

- Nie wiedziałam - szepnęła Martha tak cicho, że sama nie była pewna, czy z jej ust wydobył się jakiś dźwięk.

Zastanawiała się, czy mama wiedziała, a jeśli tak, to dlaczego jej nie powiedziała. Z drugiej strony, nie powinna mieć do niej pretensji. Matka kilka razy próbowała z nią rozmawiać o ojcu; to Martha unikała tego tematu jak ognia. I teraz po raz pierwszy tego żałowała.

- Domyślam się, co czujesz - powiedziała Cecylia. - I nie ma w tym nic złego. Jestem do tego przyzwyczajona. Większość ludzi to czuje. Ale mam do ciebie prośbę.

Uśmiechnęła się. Był to uśmiech delikatny - wargi tylko nieznacznie się wygięły, ledwie odsłaniając górne zęby - ale prześliczny.

- Gdybyśmy się miały zaprzyjaźnić - ciągnęła - to nie chciałabym, żeby fakt, że jestem niewidoma, miał z tym coś wspólnego.

- Nie rozumiem - rzuciła Martha, ale nie była to prawda. Dobrze wiedziała, o co chodzi.

- Z dwojga złego wolałabym, żebyś mnie nie lubiła, niż miałabyś polubić mnie na siłę tylko dlatego, że nie widzę - odparła Cecylia ze szczerością, która Marthę rozbroiła.

- Obiecuję, że nie będę się do niczego zmuszać.

- Świetnie! A teraz siadaj. Musisz coś zjeść. Nie tknęliście z tatą kolacji.

Martha usiadła na krześle, które odsunął dla niej ojciec, ale widząc, że Cecylia otwiera lodówkę i coś z niej wyjmuje, zerwała

się, żeby jej pomóc.

- Poczuj się jeszcze dzisiaj jak gość. Od jutra, jeśli będziesz chciała, możesz pomóc Cecylii - powiedział ojciec, zdecydowanym ruchem zatrzymując ją na krześle.

Po chwili domyśliła się, że chodziło mu o coś innego. Chciał, żeby zobaczyła, jak jego żona wspaniale sobie radzi.

Martha z podziwem patrzyła, jak Cecylia porusza się po kuchni, kroi pieczywo oraz ser i nalewa do filiżanek herbatę, nie roniąc ani kropli.

W Bostonie ona i mama rzadko wspólnie jadały śniadania, czasem tylko zdarzało im się razem jeść kolację. Nie znała tradycji wspólnych posiłków i wcale za nimi nie tęskniła.

Ale to pierwsze śniadanie, którego tak bardzo się bała, okazało się całkiem miłe.

Po śniadaniu zabrała się za rozpakowywanie rzeczy z walizki i pudeł. Potem usiadła do komputera i zainstalowała Skype'a, żeby jak najszybciej skontaktować się z Paulem. Miała nadzieję, że będzie mogła z nim od razu porozmawiać, ale był niedostępny, uznała więc, że nie ma go w domu, i wysłała długiego maila, w którym opisała swoje pierwsze wrażenia.

Kiedy kończyła go pisać, usłyszała, że pod dom podjeżdża samochód. Zaciekawiona, wyjrzała przez okno. Widząc wysokiego ciemnego blondyna, wysiadającego z jeepa, który wyglądał, jakby był kupiony z demobilu, domyśliła się, że to Kevin, chłopak, o którym opowiadali przy śniadaniu ojciec i Cecylia.

Kevin, syn ich najbliższych sąsiadów, który przyjeżdżał do Cecylii na lekcje gry na skrzypcach, był rówieśnikiem Marthy; miała chodzić do tej samej szkoły co on. Nic więc dziwnego, że była go ciekawa i od razu się zgodziła, gdy ojciec zaproponował, żeby porozmawiała z nim po lekcji.

Kiedy na schodach rozległ się tupot nóg, spodziewała się, że za chwilę do pokoju wpadnie jak burza Trisha. Mała już kilka razy przychodziła, żeby się pochwalić jakąś zabawką albo własnoręcznie wykonanym rysunkiem. Gdy przybiegła ostatnim razem - by włożyć do bukietu zerwany koło domu kwiatek - Martha usłyszała, jak Cecylia, która akurat była na górze, zwraca jej uwagę, żeby pukała, zanim wejdzie.

Trisha okazała się grzeczną dziewczynką i teraz zapukała. Przyniosła pod pachą książkę.

- Chcesz, żebym ci poczytała? - spytała Martha. Rozpakowała już wszystkie rzeczy. Paul wciąż nie był dostępny, więc dlaczego nie miałyby sprawić małej przyjemności?

Trisha skinęła głową i dała jej książkę.

Martha zaczęła ją przeglądać. Pierwsze strony szybko przekartkowała, po czym przy każdej następnej zatrzymywała się dłużej. Jej uwagę zwróciły piękne ilustracje - czarno - białe

urokliwe rysunki przypominające stare ryciny.

- Śliczne obrazki, prawda? - powiedziała, nie odrywając wzroku od książki.

- To tatuś je narysował.

- Naprawdę przepięknie. - Martha przerzuciła kolejną stronę i dopiero teraz dotarły do niej słowa Trishy.

- Co?!

- To tatuś je narysował.

Słyszała, że dzieci lubią fantazjować, i wiedziała, że tych dziecięcych fantazji nie należy wyśmiewać. Powiedziała więc tylko:

- Ach, tak. - Po czym przewróciła następną kartkę. I wtedy przypomniała sobie, że mama napomknęła kiedyś, że ojciec jest grafikiem.

Zamknęła książkę i spojrzała na pierwszą stronę okładki. Nie patrzyła na tytuł; interesowały ją wyłącznie nazwiska. Było tylko jedno: Nicolson. To było jej nazwisko. I nazwisko ojca.

Gabriel Nicolson.

Otworzyła książkę na stronie tytułowej i przeczytała: „Tekst i ilustracje: Gabriel Nicolson”.

- Tatuś napisał tę bajkę i namalował do niej obrazki - poinformowała ją Trisha.

- Nie wiedziałam, że tatuś pisze bajki i je ilustruje - powiedziała Martha i się zamyśliła.

Trisha tymczasem wzięła książkę z jej rąk, otworzyła na pierwszej stronie i pokazała palcem ilustrację.

- A wiesz, kto to jest ta dziewczynka na tym obrazku? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Ale zaraz zacznę ci czytać i się dowiem.

- To ty! - zawołała Trisha.

- Ja?! - Martha uśmiechnęła się. Mała skinęła głową.

Martha jeszcze raz zamknęła książkę i popatrzyła na okładkę. Znała już autora tekstu i ilustracji; interesował ją tylko tytuł.

Martha w krainie zaczarowanych jezior.

- la dziewczynka na obrazku to wcale nie ja. - Czowała, że mała

jej się przygląda. - Nazywa się tak samo jak ja. To wszystko.

- Nie, to ty - upierała się Trisha.

- No dobrze - zgodziła się Martha dla świętego spokoju. -
Więc jak? Chcesz, żebym ci poczytała?

- Tak.

Usiadła wygodnie w fotelu, otworzyła książkę i zaczęła czytać:

- „Martha, dziewczynka o szarzielonych oczach, mieszkała z mamą i tatą w drewnianym domku stojącym pośród tysiąca jezior...”.

Kiedy kończyła czytać, z dołu dochodziły dźwięki końcowej części 24 Kaprysu Paganiniego. Raz w miesiącu jej szkoła organizowała wyjście na koncert Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej, miesiącami przed dwoma miesiącami jeden z solistów zagrał ten utwór na bis. Wtedy słuchała go ze łzami w oczach.

Dzisiaj też ciekły jej po policzkach. Ale nie wiedziała, czy to muzyka tak ją rozrzewniła, czy odkrycie, że Gabriel Nicolson, pisząc wzruszającą historię sześciolatniej dziewczynki, zagubionej wśród tysiąca jezior, i ilustrując ją, myślał o niej.

- Czemu płaczesz? - spytała Trisha. - Przecież ta bajka dobrze się skończyła.

- Wiem. Wszystkie bajki dobrze się kończą - odpowiedziała Martha i pośpiesznie otarła łzy.

Zanim oddała małej książkę, postanowiła jeszcze coś sprawdzić. Otworzyła ją na stronie redakcyjnej i znalazła datę pierwszego wydania: rok 1994.

Jedenaście lat temu. Rok po tym, gdy ojciec od nich odszedł. Miała wtedy sześć lat, tyle samo, co Martha z Krainy Tysiąca Jezior.

Martha szybko zbiegała po schodach, obawiając się, że Kevin odjedzie. Lekcja muzyki skończyła się kilka minut temu, a ona potrzebowała trochę czasu, żeby zlikwidować ślady łez.

Ledwie go zobaczyła i zamieniła z nim kilka słów, wiedziała, że go polubi.

Aż się wystraszyła, kiedy to sobie uświadomiła. Zanim tu przyjechała, traktowała pobyt u ojca jak odrę, świnkę, ospę albo inną nieprzyjemną chorobę, przez którą, zaciskając zęby, trzeba przejść. A tymczasem wszystko wyglądało inaczej. Piękny dom i pokój, z którego roztaczał się wspaniały widok na jezioro i las, Trisha, która ją rozbierała, Cecylia ze swoim cudownym uśmiechem, ojciec, który nie był już dla niej całkiem obcym człowiekiem, a teraz ten sympatyczny chłopak.

Może to wszystko jest snem, a kiedy się przebudzi, Cecylia okaże się wstrętną macochą, Trisha okropną przyrodną siostrą, a ona sama wyląduje w końcu nad miską z makiem i popiołem.

- Cecylia mówiła mi, że jeszcze w ogóle nie wychodziłaś z domu - powiedział Kevin, po tym jak wymienili kilka konwencjonalnych zdań.

- Jeszcze nie miałam kiedy - odparła Martha. - Rozpakowywałam się, a potem walczyłam z komputerem, bo chciałam zainstalować Skype'a.

- Trzeba było poczekać na mnie.

- Zależało mi na tym, żeby się jak najszybciej skontaktować ze... - Wahała się chwilę, w końcu jednak uznała, że najlepiej powiedzieć prawdę. Kevin był miły, ale wolała już na początku postawić sprawę jasno. Przyjaźń tak, proszę bardzo, ale na tym koniec. - Ze swoim chłopakiem.

- I udało ci się?

- Tak. - Nie wdawała się w szczegóły i nie tłumaczyła, że zainstalowała Skype'a, ale Paul był niedostępny.

- Gdybyś w przyszłości miała jakieś problemy z komputerem, to wal śmiało do mnie - zaproponował.

- Dobrze wiedzieć.

- To co? Rozejrzemy się trochę po okolicy?

- Chętnie.

- Wróćcie o siódmej na kolację - poprosiła Cecylia. - Martha jadła dzisiaj tylko śniadanie.

- W porze lanczu - powiedziała Martha, uśmiechając się do niej.

Dopiero kiedy wyszli z domu, uświadomiła sobie, że Cecylia nie mogła zobaczyć jej uśmiechu.

- Chcesz się przejść czy wolisz, żebyśmy pojechali samochodem? - spytał Kevin.

Martha go nie słyszała. Z okna swojego pokoju widziała jezioro. Był to przyjemny widok, ale to, co zobaczyła teraz, było absolutnie bajeczne.

- Czy to jest jedno jezioro, czy trzy? - spytała, po tym, jak przez chwilę, z niewielkiego wzniesienia, na którym stał jej dom, próbowała prześledzić skomplikowane linie brzegowe.

- Pięć - odparł Paul.

- Pięć?! - nie mogła uwierzyć Martha. Kevin cierpliwie pokazał jej wszystkie.

- Ja mieszkam nad tym piątym - oznajmił. - Nad Świńskim Uchem.

- Co?! - Nie była pewna, czy się przesłyszała.

- Stąd tego nie widać, ale jak do mnie przyjedziesz, to się przekonasz, że ma kształt ucha świni.

- Zaraz! - zawołała. - To, nad którym stoi nasz dom, też ma znajomy kształt. - Jeszcze wczoraj, mówiąc o miejscu, w którym ma zamieszkać, nie była w stanie wymówić słowa „dom”. Teraz w ogóle nie zauważyła, że powiedziała „nasz dom”. Może była tak zajęta odgadywaniem kształtu jeziora, a może dziś było to już dla niej zupełnie naturalne.

- No, popatrz uważnie.

- Wygląda jak księżyc w pierwszej kwadrze.

- Ciepło - powiedział Kevin.

- Rogal! Przecież to jest rogal.

- Właśnie. Mieszkasz nad Rogalem. Dobra jesteś - pochwalił ją. - Ja, kiedy się tu przeprowadziłem rok temu, nie potrafiłem rozpoznać kształtów jezior. Nie miałem pojęcia, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

- Przeprowadziłeś się tu przed rokiem? Kevin skinął głową.

- Skąd?

- Z Nowego Jorku.

Marthę tak to zaskoczyło, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, choć bardzo chciała zadać kolejne pytanie.

- Wiem, o czym myślisz - uprzedził ją Kevin. - Zastanawiasz się, jak po Nowym Jorku mieszka mi się w miejscu, gdzie nawet diabeł nie mówi dobranoc. Więc ci powiem, że wcale nie najgorzej.

Dochodziła dwunasta, a Martha, mimo że nazajutrz miała po raz pierwszy jechać do nowej szkoły, jeszcze nie spała. Leżała w łóżku, ale, nie gasząc światła, myślała o minionym dniu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła misternego zdobienia na szufladzie komody. Wiedziała już, kto ją wykonał - ojciec Kevina, który przed rokiem stwierdził, że ma dosyć życia w Nowym Jorku i pracy maklera giełdowego, skłonił rodzinę do wyjazdu do Minnesoty i postanowił zostać cieślą.

Kevin, pokazując jej okolicę, opowiadał, jak na początku było mu ciężko, jak tęsknił za przyjaciółmi, dawną szkołą i rozrywkami, których tu brakowało. Ale szybko się przyzwyczyił i teraz nie wyobrażał sobie życia w wielkim mieście.

Może i ze mną będzie podobnie, przemknęło jej przez głowę. Natychmiast jednak odrzuciła tę myśl. Była w zupełnie innej sytuacji niż on. Po pierwsze, sprowadził się tu z całą rodziną, a po drugie, nie zostawił w Nowym Jorku dziewczyny.

Martha kochała Paula i wierzyła, że ich związek przetrwa rozłąkę. Po kolacji rozmawiała z nim na Skypie ponad godzinę. Zdał jej szczegółową relację ze spotkania z Sammym Longiem i przekazał dobrą wiadomość, że basista Sean O'Connor wziął sobie do serca jego radę i postanowił nie zajmować się więcej muzyką. Paul i jego dwaj koledzy mieli wprawdzie problem, kto go zastąpi, ale byli dobrej myśli i wierzyli, że wkrótce kogoś znajdą.

Głównie jednak mówiła Martha - o nowym domu, przepięknej, pełnej jezior i lasów okolicy, o ojcu, jego żonie i Trishy, o książce, którą czytała siostrze, o bukietiku polnych kwiatów zerwanych przez małą własnoręcznie, pysznym cieście z poziomkami, które upiekła Cecylia, nawet o wyprasowanej pościeli pachnącej lawendą. Powiedziała również, że zdążyła nawet poznać chłopca, najbliższego sąsiada, z którym będzie chodzić do szkoły.

Kiedy leżąc w łóżku, przypominała sobie rozmowę z Paulem, uświadomiła sobie, że być może za dużo opowiadała o Kevinie.

Paul jakoś dziwnie przygasł w tym momencie. Wtedy złożyła to na karb późnej pory i zmęczenia, dopiero teraz pomyślała, że raczej miało związek z jej nowym znajomym.

Żałowała, że nie wspomniała o jego dziewczynie. Bo Kevin nie dość, że zadomowił się w nowym miejscu, to znalazł tu dziewczynę, którą Martha miała jutro poznać.

Zanim zgasła światło, jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Mimo że był przestronny, wydawał się bardzo przytulny. Trisha powiedziała jej, że wcześniej ojciec miał tu pracownię. Teraz przeniósł się do małego pomieszczenia na parterze.

Martha wciąż pracowała nad tym, żeby nie zacząć o nim myśleć za dobrze, ale potrafiła docenić jego gest.

Minęły dwa miesiące, od kiedy Martha zamieszkała z rodziną ojca, i coraz częściej łapała się na tym, że wcale nie tęskni za Bostonem tak, jak się tego spodziewała. Brak wielkomięjskich rozrywek rekompensowała wspaniała przyroda, która o tej porze roku - na przełomie wiosny i lata - aż kipiała życiem. Wystarczyło wyjść za próg domu, by mieć z nią kontakt.

Jak większość mieszkańców miast, Martha dotychczas nie odczuwała potrzeby obcowania z naturą, teraz jednak z każdym dniem mocniej uświadamiała sobie, ile przez to traciła.

Wbrew oczekiwaniom, nie była samotna. Ani ojciec, ani Cecylia nie narzucali jej się ze swoim towarzystwem, potrafili jednak stworzyć atmosferę, w której czuła, że w każdej chwili, jeśli będzie miała taką potrzebę, może z nimi porozmawiać. I coraz częściej ją odczuwała. Szczególnie ceniła sobie rozmowy z Cecylią, która posiadała niezwykle dar słuchania - nawet tego, co nie zostało głośno powiedziane.

Już po pierwszym tygodniu pobytu Martha przestała toczyć ze sobą walkę; przestała mieć do siebie pretensje o to, że darzy ją sympatią, i nie doszukiwała się już w tym nielojalności wobec matki.

Któregoś dnia, rozmawiając z nią przez telefon, przyznała się, że polubiła żonę ojca.

- To dobrze - powiedziała matka. - Naprawdę się cieszę. Nie byłabym spokojna, gdybym wiedziała, że masz wokół siebie ludzi, za którymi nie przepadasz.

Martha uważnie wsłuchiwała się w jej głos, starając się wyłapać jakąś fałszywą nutę, ale niczego takiego nie zauważyła.

- Nie jesteś trochę zazdrosna? - spytała. Matka roześmiała się.

- No, może ociupinkę. Ale bądź spokojna, przełknę to.

Kontaktowała się z córką regularnie raz w tygodniu, kiedy całą ekipę wożono z odludzia, na którym prowadzono badania, do najbliższego miasta, gdzie była poczta i telefon.

- Mam fantastyczną wiadomość - powiedziała, kiedy, jak zawsze w piątek, zadzwoniła w połowie czerwca.

- Odnależliście złoto Inków? - zażartowała Martha.

- Dla ciebie to, co ci przekażę, może być równie cenne.

- Co to jest? Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Piątego lipca lecę na dziesięć dni do Bostonu. I co ty na to?

- Fajnie - rzuciła Martha, trochę rozczarowana.

- Nie cieszysz się? - zdziwiła się matka.

- To ty masz powód do radości.

- A ty nie? Przecież będziesz już miała wakacje. Nie chciałabyś pobyć przez te dziesięć dni w Bostonie?

Martha zadomowiła się tu, czuła się dobrze w nowej szkole, zaprzyjaźniła się z Kevinem i jego dziewczyną Patricią, ale bardzo tęskniła za Paulem i rozmowy na Skypie - choć długie i prawie codzienne - pozostawiały w niej jednak poczucie niedosytu. Marzyła o tym, żeby go zobaczyć, przytulić się do niego, dotknąć, pocałować...

- Naprawdę?! - Nie wierzyła w swoje szczęście. - Mogłabym?

- A dlaczego nie? Bardzo bym chciała cię zobaczyć. Stęskniłam się za tobą.

- To już za niecałe trzy tygodnie!

Rozmawiały jeszcze kwadrans, a potem mama poprosiła Marthę, żeby przekazała słuchawkę ojcu. Robiła to już kilka razy. Martha była wtedy zawsze ciekawa, jak i o czym rozmawiają, ale wykazywała się dyskrecją i wychodziła z pokoju.

Dziś nie mogła się powstrzymać i została. Dopiero kiedy usłyszała, że mówią o zarezerwowaniu dla niej biletu i ojciec obiecał, że się tym zajmie, zostawiła go samego.

Pobiegła do swojego pokoju i włączyła komputer. Nie było jeszcze dziewiątej, pory, kiedy zawsze - chyba że któreś z nich z jakiegoś powodu musiało być poza domem - kontaktowała się z Paulem.

Wpatrywała się w ekran i czekała, aż czerwona słuchawka, oznaczająca, że jeszcze go nie ma, zmieni się na zieloną.

Minęła dziewiąta, a Paul wciąż był niedostępny.

O wpół do dziesiątej trochę się zaniepokoiła, ale po chwili przypomniała sobie, że już tak kiedyś było - u Paula nie działał Internet. Wtedy jednak wiedziała o tym, ponieważ przysłał jej esemesa.

- O rany! - zawołała, przypomniawszy sobie, że po przyjściu ze szkoły nie wyjęła komórki z plecaka.

Na pewno przyszedł esemes, tylko nie słyszała.

Ale na ekraniku komórki nie było informacji, że otrzymała wiadomość. Dla pewności sprawdziła jeszcze skrzynkę odbiorczą. Była pusta.

Martha pomyślała trochę przesadnie, że jeśli będzie dalej wpatrywać się w ekran, słuchawka pozostanie czerwona. Wzięła więc z komody książkę i usiadła z nią w fotelu. Gdyby Paul się pojawił, komputer zasygnalizowałby to pipknięciem.

Minęła dziesiąta, a jej chłopak był niedostępny.

Postanowiła wysłać mu esemesa.

„Czekam na ciebie przy komputerze. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Odezwij się, proszę”.

Chciała dopisać „całuję”, ale został jeden znak, więc napisała tylko inicjał swojego imienia.

Do jedenastej Paul wciąż nie dał znaku życia.

Martha poszła do łazienki wziąć prysznic i umyć zęby. Gdyby ktoś zobaczył, w jakim tempie to robi, nie miałby dobrego zdania na temat jej higieny osobistej. Ledwie się opłukała, po czym kilka razy machnęła szczotką do zębów.

Nawet się nie wycierając, wróciła do pokoju, przekonana, że podczas jej nieobecności Paul musiał się pojawić. Ale słuchawka na ekranie wciąż była czerwona.

Na podłodze od drzwi łazienki aż do biurka widniały mokre ślady jej stóp; pod krzesłem, na którym siedziała, zebrała się kałuża.

Martha, drżąc z zimna, poszła do łazienki, wytarła się i włożyła piżamę. Była coraz bardziej niespokojna. Nie czekam dłużej, zdecydowała w końcu. Wróciła do komputera, żeby go

wyłączyć, ale się zawahała. Nic się nie stanie, jeśli raz zostanie na noc włączony, powiedziała sobie i poszła do łóżka.

Budzik na komodzie, który ojciec kupił kilka dni po jej przyjeździe, wskazywał pierwszą, kiedy Martha, zaciskając mocno powieki, próbowała się zmusić do snu. W końcu uznała, że dopóki będzie wyczekiwać pipknięcia, na pewno nie uda jej się zasnąć.

Wstała i wyłączyła komputer.

Na nic się to zdało, ponieważ nie była w stanie w podobny sposób - naciśnięciem jednego guzika - wyłączyć myślenia.

A myśli zaczęły biec bardzo jednotorowo. Martha nie zakładała już, że Paulowi wysiadł Internet albo że wypadło mu nagle coś bardzo ważnego i z jakiegoś powodu nie mógł jej dać znać.

Wy tłumaczenie było oczywiste. Paul przestał ją kochać i nie zależało mu na tym, żeby się z nią skontaktować!

Przewracając się z boku na bok, zaczęła sobie przypominać ich ostateczną rozmowę - słowa, chwile, kiedy zapadało milczenie, barwę jego głosu, momenty, gdy go zawieszał, najdrobniejsze nawet szczegóły. Im dłużej to wszystko analizowała, tym większego nabierała przekonania, że Paul zachowywał się dziwnie. Stał się bardziej powściągliwy i... Długo szukała odpowiedniego określenia i w końcu je znalazła.

Tak. Był oschły.

Jak mogła nie zauważyć tego wcześniej?

Nazajutrz Martha długo walczyła ze sobą, czy włączyć komputer. Przez cały dzień zastanawiała się, jak się zachować. Czy w jakiś sposób skontaktować się z Paulem - oprócz Skype'a mogła przecież skorzystać z komórki albo ze stacjonarnego telefonu - i skłonić go do szczerzej rozmowy, czy zaakceptować fakt, że nie chce z nią rozmawiać, i nie robić nic.

W chwilach, gdy duma brała górę nad emocjami, Martha skłaniała się ku drugiej opcji. Potem tłumaczyła sobie jednak, że duma nie zawsze jest najlepszym doradcą. Kiedy nadszedł wieczór, postanowiła ją odrzucić i równo o dziewiątej włączyła komputer.

Paul był niedostępny.

Nie musiała sprawdzać, czy przysłał esemesa. Przez cały czas miała na oku leżącą na biurku komórkę, która tego dnia ani razu nie zadzwoniła.

Czekała pół godziny, po czym wyłączyła komputer. Wiedziała, że Paul już się nie pojawi.

Było jeszcze za wcześnie, żeby kłaść się spać. Doskonale wiedziała, jak to by się skończyło, gdyby teraz poszła do łóżka - wylewaniem łez do poduszki. Długo się zastanawiała, czym się zająć, żeby nie myśleć o Paulu. W końcu wpadła na pomysł, żeby zadzwonić do Bridget.

Ponieważ przyjaciółka nie znosiła kontaktowania się przez Internet, dzwoniły do siebie, na początku co drugi, trzeci dzień, teraz trochę rzadziej. Minał co najmniej tydzień od czasu, gdy rozmawiały po raz ostatni, Martha uznała więc, że czas najwyższy, żeby się dowiedzieć, co u niej słychać.

Wybierając numer telefonu, wiedziała jednak, że dzwoni do niej z zupełnie innego powodu.

- Cześć, Bridget.

- A, Martha! Świetnie, że cię słyszę. Właśnie o tobie myślałam.

Bridget, radosna jak skowronek, zaczęła jej podnieconym

głosem opowiadać plotki. Martha nie przepadała za tym, ale zawsze pozwalała się wygadać przyjaciółce. Dziś jednak słuchała tego z lekkim zniecierpliwieniem, zastanawiając się, czy Bridget zawsze była tak egzaltowana.

- A co u ciebie? - spytała Marthę, kiedy wyczerpał jej się zapas najświeższych plotek.

Martha chciała się pochwalić, że piątego lipca przyleci na dziesięć dni do Bostonu, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Bridget przypomniała sobie jeszcze jedną rewelację.

Martha ucieszyła się, że przyjaciółka nie dała jej dojść do głosu, przemknęło jej bowiem przez myśl, że w tej sytuacji może nie warto tam lecieć.

- No to teraz ty mów - powiedziała Bridget. - Co u ciebie?

- Kiedy ostatnio widziałas Paula? - Martha była zła na siebie, że zadała to pytanie, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Cisza trwała stanowczo zbyt długo. Martha zaczęła podejrzewać, że Bridget coś wie.

- Dzisiaj w szkole. A dlaczego pytasz? - odpowiedziała w końcu przyjaciółka.

Tym razem Martha zwlekała z odpowiedzią.

- Więc już wiesz - rzuciła Bridget.

- Co wiem?!

- Hm...

- Bridget, powiedz mi proszę, co mam wiedzieć.

- Wiesz, że nie lubię roznosić plotek.

W innej sytuacji Martha parsknęłaby śmiechem, ale teraz nie było jej do śmiechu.

- Myślałam, że będzie miał na tyle odwagi i sam ci to powie - zaczęła Bridget. - Paul...

- Możesz to wreszcie z siebie wykrztusić?! - zawołała Martha.

- Paul spotyka się z Eileen Thurman.

Eileen należała do dziewcząt, o których się mówi „żyleta”, tych co to zwracają na siebie uwagę, gdziekolwiek się pojawią. Była niewątpliwie atrakcyjną, bardzo zgrabną blondynką o

cukierkowej buzi. Martha wiedziała, że podoba się chłopakom, ale w swojej naiwności sądziła, że Paul gustuje w dziewczynach o urodzie trochę mniej dosłownej.

- Naprawdę miałam nadzieję, że dowiesz się o tym nie ode mnie - powiedziała Bridget.

Martha wciąż nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Nie wiedziała, co boli ją bardziej - fakt, że Paul ma inną dziewczynę, czy to, że jest nią Eileen Thurman.

- Od kiedy? - spytała.

- Co od kiedy?

- Od kiedy się spotykają?

- Nie wiem dokładnie - odparła Bridget.

- A od kiedy ty o tym wiesz?

- Od jakichś dwóch tygodni. Teraz Martha nie miała już wątpliwości, co sprawia jej największy ból - fakt, że Paul jeszcze dwa dni temu z nią rozmawiał i, choć zachowywał się nieco inaczej niż zwykle, to przecież pozostawiał ją w przekonaniu, że wciąż jest jego dziewczyną.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? - spytała z żalem.

- I prawdopodobnie nie zrobiłabyś tego nawet dzisiaj, gdybym sama nie zaczęła.

- Naprawdę miałam nadzieję, że on ci o tym powie.

- W pewien sposób mi powiedział.

- W jaki?

- Przestał się ze mną kontaktować.

Usłyszała kroki w przedpokoju. Nie chciała, żeby ktokolwiek widział ją z twarzą spuchniętą od płaczu. Zastanawiała się, co lepiej zrobić - wskoczyć do łóżka i udawać, że śpi, czy wejść do łazienki i puścić wodę.

Kilka sekund później Martha, która nauczyła się rozpoznawać domowników po krokach, zorientowała się, że nie jest to ani tupot małych nóżek Trishy, ani przyciężkawy chód ojca. To Cecylia zbliżała się do jej pokoju cichymi posuwistymi krokami.

Przed nią nie musiała się chować; Cecylia i tak nie zobaczy, że płakała.

- Wejdz, proszę - rzuciła Martha, usłyszawszy delikatne pukanie do drzwi.

- Przyniosłam ci świeżą pościel.

- Trzeba było mnie zawołać. Przyszłabym po to. - Martha wzięła od niej czystą wyprasowaną bieliznę.

Jak zawsze pachniała lawendą.

- Ten zapach - powiedziała. - Czy to jest płyn do płukania?

- Nie, płyn, którego używam przy prasowaniu.

- Właśnie... Trochę mi głupio, że prasujesz moje rzeczy. Może ja bym też kiedyś poprasowała? - zaproponowała Martha. - Chociaż muszę ci się przyznać, że nigdy nie prasowałam pościeli.

Cecylia odsłoniła kilka milimetrów górnych zębów w swoim cudownym uśmiechu.

- Nie trzeba. Akurat prasowanie jest moim ulubionym zajęciem domowym. Ale przydałaby mi się pomoc przy sprzątaniu szafek w kuchni.

- Jasne - powiedziała Martha. - Czy to jest pilne?

- Nie.

- W tym tygodniu mam w szkole trzy ostatnie testy, ale w przyszłym nie będę już miała nic na głowie, więc chętnie się za to zabiorę.

- Świetnie.

Cecylia stała przy drzwiach, jakby się zastanawiała, czy wyjść. Nagle, ku zaskoczeniu Marthy, podeszła i wyciągnęła dłoń do jej twarzy. W tym samym momencie dziewczyna się cofnęła, zdała sobie bowiem sprawę, że jeśli pozwoli się dotknąć, Cecylia dowie się, że płakała.

Ona jednak i tak wiedziała.

- Dlaczego płakałaś? - spytała.

- Skąd to wiesz?

- Słyszę w twoim głosie.

- Nie miałam pojęcia, że to słyhać - powiedziała zaskoczona Martha. - To znaczy wiem, że słyhać, jeśli ktoś płacze, wtedy, kiedy mówi...

- Musisz mieć bardzo spuchnięte powieki.

- Nie jest tak źle - rzuciła Martha, ale dopiero kiedy po wyjściu Cecylii spojrziała do lustra, przekonała się, że zamiast oczu ma szparki. Wiedziała, że przez noc to nie minie. Rzadko płakała, ale jeśli już jej się zdarzało, ślady pozostawały na długo.

Dziesięć minut później znów usłyszała kroki Cecylii na korytarzu.

- Nie obawiaj się, nie przyszedłam tu po to, żeby cię wypytywać - oznajmiła już w progu.

W ręce trzymała tacę, na której była miseczka z jakimś płynem, z zamoczoną w nim małą ściereczką, i filiżanka z czymś parującym.

- Przyłóż to sobie do twarzy, najlepiej póki jest jeszcze ciepłe - poradziła. - Jeśli potrzywasz kwadrans, zniknie cała opuchlizna.

Martha nie wierzyła w takie cuda, ale postanowiła spróbować.

- A to? - spytała, wskazując na filiżankę.

- Herbata ziołowa. Trochę się po niej odprężysz.

Nie wierzyła również w to, że po tym, co usłyszała od Bridget, cokolwiek może jej pomóc się odprężyć, była jednak zdecydowana ją wypić.

- Dzięki - powiedziała, kiedy Cecylia postawiła tacę na biurku i skierowała się do drzwi.

- Nie ma za co.
- Nie tylko za okład i herbatę - dodała Martha.
- Za co jeszcze?
- Za to, że nie pytasz.

Cecylia skinęła głową i uśmiechnęła się.

Dopiero pod koniec następnego tygodnia Martha i Cecylia zabrały się za generalne porządki w kuchni. Wcześniej albo jedna, albo druga nie miała na to czasu.

W poprzednią sobotę Martha była na urodzinowej imprezie u Kevina, we wtorek wybrała się z nim, jego dziewczyną i jeszcze paroma znajomymi ze szkoły na przejażdżkę łodzią po kilku połączonych ze sobą kanałami jeziorach. W pozostałe dni Cecylia udzielała lekcji gry na skrzypcach. Oprócz Kevina, który był jej najstarszym i najzdolniejszym, miała kilku innych, na różnym poziomie zaawansowania.

Podczas tych lekcji Martha lubiła siadać w salonie sąsiadującym z pokojem muzycznym i się przysłuchiwać, zwłaszcza gdy przychodził Kevin.

Teraz, stojąc na kuchennym taborecie i wyjmując z górnych szafek naczynia, które Cecylia odbierała od niej i stawiała na blat, Martha przypomniała sobie, jak przedwczoraj grał Chaconne d - moll z II Partity Bacha. I nagle w jej głowie zrodził się pewien pomysł.

- Wiesz, kiedyś na początku podstawówki przez trzy lata uczyłam się gry na fortepianie - odezwała się zamyślonym głosem.

Były w kuchni same. Ojciec zawiózł Trishę do jej koleżanki, a potem zamknął się w pracowni.

- Nic mi o tym nie wspominałaś - powiedziała Cecylia, biorąc od niej szklaną misę na poncz. - I co? Nie podobało ci się?

- Chyba nie bardzo. Ale raczej nie z tego powodu mama przestała mnie posyłać na lekcje.

- A z jakiego?

- Z tego, co mama opowiadała mi potem, wiem, że nauczyciel powiedział, że mam słuch, ale że nie nadaję się do gry na fortepianie.

- Tak bywa - powiedziała Cecylia. - Ja też miałam kilku bardzo muzykalnych uczniów, którzy już do mnie nie przychodzą,

ponieważ skrzypce nie były dla nich odpowiednim instrumentem.

- Na tym skończyła się moja muzyczna edukacja. Mama nie próbowała mnie skłonić do gry na czymś innym. - Pomyślała, że te słowa mogły zabrzmieć jak krytyka pod adresem matki, i szybko dodała: - Pilnowała, żebym rozwijała się jak najbardziej wszechstronnie, zawoziła mnie na różne zajęcia dodatkowe, ale ponieważ sama nie ma słuchu...

Przerwała, bo znowu miała wrażenie, że ją krytykuje. Cecylia słuchała jednak z tak życzliwym uśmiechem, że obiekcje Marthy się rozwiały.

- Tata na pewno ci wspomniał, że mojej mamie słoń nadepnął na ucho.

Cecylia roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie, niczego takiego mi nie mówił. Z jego ust nigdy nie padło nawet jedno złe słowo pod adresem twojej matki. - Zamyśliła się. - Przyznam ci się do czegoś. Nieraz marzyłam o tym, żeby coś takiego usłyszeć. Byłam chyba o nią zazdrosna.

- Ty byłaś zazdrosna?! - Marcie z wrażenia o mało nie wypadła z rąk porcelanowa filiżanka.

- Wiedziałam, że jest piękna, inteligentna, niezwykła... A ja...? Cóż...

- Ale przecież ojciec odszedł od mamy dla ciebie - powiedziała Martha.

Za późno się zorientowała, że przypominanie jej o tym jest nietaktem. Zwłaszcza że już od dawna nie widziała w niej kobiety, która odbiła mamie męża. Zdążyła poznać ojca na tyle, by rozumieć, że - niezależnie od tego, czy w życiu taty pojawiłaby się Cecylia, czy nie - jego związek z mamą i tak nie miałby żadnych szans. Mieli tak odmienne podejście do życia, że jedyne, czemu się dziwiła, to temu, jak w ogóle było możliwe, że zdecydowali się pobrać.

- Przepraszam - powiedziała i uśmiechnęła się do niej przeproszająco. Kiedy zdała sobie sprawę, że Cecylia przecież tego nie widzi, spróbowała to wyrazić inaczej: dotknęła jej ramienia.

- Nic się nie stało. Naprawdę nie masz mnie za co przepraszać.

- Ale wracając do muzyki... Chciałabym cię zapytać, czy nie znalazłabyś czasu, żeby udzielić mi kilku lekcji. Może nic z tego nie wyjdzie, ale może się też okazać, że właśnie skrzypce są instrumentem, na którym powinnam grać.

- Bardzo chętnie - odparła Cecylia.

- Nie wiem tylko, czy to nie za późno.

- Nigdy nie jest za późno. Kiedy chcesz zacząć?

- Kiedy ty będziesz mogła. Cecylia zamyśliła się.

- Jeśli chodzi o mnie, to mogę choćby dziś. Ale zastanawiam się, czy nie byłoby rozsądniej poczekać, aż wrócisz z Bostonu. Długie przerwy w ćwiczeniach na początku nauki nie są najlepsze.

- Nie polecę do Bostonu - oznajmiła Martha. Cecylia była pierwszą osobą, która się o tym dowiedziała. - Powinnam powiedzieć o tym ojcu, żeby anulował rezerwację.

- Dlaczego? - Cecylia była tak zaskoczona, że teraz ona omal nie upuściła talerza. - Przecież cieszyłaś się z tego wyjazdu.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Czy twoja decyzja ma coś wspólnego z tym, że ostatnio często płakałaś? - spytała Cecylia zatroskanym głosem.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Cecylia przez ostatnie dni była dyskretna, o nic jej nie wypytywała, ale prawie za każdym razem, kiedy Martha płakała, zastawała na komodzie w swoim pokoju miseczkę z naparem, który w cudowny sposób likwidował ślady łez.

- Chłopak, prawda? - domyśliła się Cecylia.

- Tak.

- Pokłóciliście się?

- Nie. Zaczął chodzić z inną dziewczyną i nawet nie zadał sobie trudu, żeby mnie poinformować - odparła Martha z goryczą.

- Więc skąd o tym wiesz?

- Od koleżanki.

- A on to potwierdził? Zapytałaś go?

- Nie.

- Nie sądzisz, że powinnaś to zrobić?

- Jak?! - Martha zajrzała do szafki. Była pusta. - Już wszystko - powiedziała, zeszła z taboretu i przesunęła go tak, żeby móc sięgnąć do następnej.

- Zróbmy sobie małą przerwę - zaproponowała Cecylia. - Chodź, napijemy się herbaty.

- Przecież dopiero zaczęliśmy.

- Nie szkodzi, szafki mogą poczekać. - Cecylia nalała wody do czajnika. - W ogóle z nim nie rozmawiałaś?

- Nie miałam okazji - odpowiedziała Martha, wyjęła z szafki dwa kubki na herbatę i postawiła je na stole.

- A ta koleżanka? Masz do niej zaufanie?

Martha spojrzała na nią, zaskoczona tym pytaniem, Cecylia należała bowiem do osób, które wszystkim ufają, a takim ludziom nie przychodzi do głowy, że ktoś mógłby skłamać.

- To moja przyjaciółka, najlepsza. - Przemknęło jej przez głowę, że ostatnio myśli o Patricii, choć znały się krótko, jako o najlepszej przyjaciółce, więc dodała: - W Bostonie. Zresztą po co miałyby mnie okłamywać?

- No tak - zgodziła się z nią Cecylia.

Wsypała do dzbanka herbatę, zalała wodą, postawiła naczynie na stole i usiadła naprzeciwko Marthy.

- Bardzo cię to boli? - spytała.

- A jak myślisz?

- Przepraszam. Rzeczywiście, głupie pytanie. Zrobiła taki ruch, jakby chciała dotknąć jej twarzy.

- Nie bój się, nie będę płakać - obiecała Martha. - Chyba już swoje wyplakałam. I dzięki za okłady. Są rewelacyjne.

- Posłuchaj - poprosiła Cecylia. - I nie zrozum mnie źle. To, że będę cię namawiać do przemyślenia twojej decyzji, nie znaczy, że zależy mi na tym, żebyś wyjechała. Może mi nie uwierzysz, ale naprawdę przywiązałam się do ciebie, podobnie jak twój ojciec. Nie wspominając już o Trishy, która się rozbeczała, kiedy się dowiedziała, że przez jakiś czas cię nie będzie.

- Wierzę - powiedziała Martha. - Wierzę, bo ja też się do was

bardzo przywiązałam. Trisha się rozplakała?

- Żeby ją uspokoić, musiałam pokazywać jej na palcach, ile dni cię nie będzie, i długo przekonywać, że szybko wrócisz.

- Więc mam kolejny powód, żeby nie lecieć do Bostonu.

- Myślę jednak, że masz również powody, żeby tam polecieć. Na przykład twoja mama? Czy ona już wie?

Martha zasepiła się.

- Nie, jeszcze nic nie wie. Wczoraj, zanim zadzwoniła, obiecałam sobie, że jej powiem, ale jakoś nie chciało mi to przejść przez gardło.

- No widzisz. Jeśli mama nie jest wystarczającym powodem, to masz tam w końcu znajomych, tę przyjaciółkę...

- Bridget - odpowiedziała Martha, czując, że zaczyna się wahać. - Tutaj też już mam. Chociaż Kevin i Patricia wyjeżdżają w lipcu na wakacje.

Martha, pijąc małymi łydkami gorącą herbatę, toczyła ze sobą walkę.

- Sądzisz, że powinnam pojechać? - spytała w końcu.

- Tak sądzę. Nie wiadomo, kiedy potem będziesz miała okazję spotkać się z matką i znajomymi.

- Może masz rację?

- I coś jeszcze... - Cecylia zrobiła przerwę, jakby rozważała, czy jednak nie przemilczeć tego, co chciała powiedzieć. - Postępuj oczywiście tak, jak będziesz uważała za stosowne, ale ja na twoim miejscu spróbowałabym jednak porozmawiać z tym chłopcem.

- Nie, nie zrobię tego - oświadczyła Martha z determinacją w głosie.

Choć dopiero zbliżało się południe, Martha była senna i zmęczona, kiedy przyleciała do Bostonu. Musiała wstać o czwartej rano, żeby o ósmej być na lotnisku w Minneapolis. Myślała, że pośpi w samochodzie, ale jej się nie udało, i wcale tego nie żałowała.

Przez całą drogę rozmawiała z ojcem i nie mogła się nadziwić, że dwa i pół miesiąca temu przemierzali tę trasę - tylko w odwrotnym kierunku - i tak niewiele mówili, zwłaszcza ona.

- Będzie mi ciebie brakowało - rzekł, kiedy rozstawali się w hali przylotów.

- Mnie ciebie też - powiedziała łamiącym się nieco głosem. - Ciebie, Cecylii i Trishy. Muszę ci się do czegoś przyznać. Kiedy leciałam do was...

- Nic mi nie musisz mówić - przerwał jej i wyciągnął do niej rękę. - Wiem wszystko - dodał, mocno ją przytulając.

- Teraz zachowujemy się jak bohaterowie prawdziwego melodramatu - powiedziała, pochlipując. - Muszę już chyba iść do odprawy.

Pocałowała go w oba policzki. Nie zdążył się rano ogolić, miał więc dość ostry zarost, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

- Wracaj szybko i szczęśliwie.

- Pa, tato.

Chciała już iść, ale zauważyła, że ojciec dziwnie się jej przygląda.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała.

- Pierwszy raz powiedziałaś do mnie „tato”.

- To był naprawdę pierwszy raz? - Nie mogła w to uwierzyć.

Skinął głową.

Jeszcze raz cmoknęła go w policzki.

- Pa, tato - powtórzyła.

- Pa, kochanie.

Właśnie przypominała sobie tę chwilę, kiedy w hali przylotów bostońskiego lotniska dojrzała w tłumie mamę.

- Cześć, mamó! - zawołała i pomachała, zorientowawszy się, że ją usłyszała, ale jeszcze nie zobaczyła.

- Martho, skarbie!

Wiedziała, że mamie będzie towarzyszył doktor Graaham, który miał je obie odebrać z lotniska, bo tak się akurat szczęśliwie złożyło, że samolot z Limy lądował tylko pół godziny wcześniej niż ten z Minneapolis.

Martha ruszyła w stronę mamy, a ta zostawiła swojego przyjaciela i pobiegła córce naprzeciw. Padły sobie w ramiona, a potem obie cofnęły się o krok i zaczęły się sobie przyglądać.

- Ładnie wyglądasz - powiedziała matka.

- Tak jak zawsze - rzuciła Martha. Nie zauważyła, żeby w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni jakoś szczególnie się zmieniła. Może tylko to, że waga, na którą weszła przed kilkoma dniami, pokazywała cztery kilo mniej, niż miała, kiedy ostatnio ważyła się w Bostonie.

- Nie, wydorostałaś i zrobiłaś się jakaś taka delikatniejsza, bardziej subtelna. Wyglądasz naprawdę ślicznie.

- Ty też.

Mama była bardzo opalona, nie był to jednak ten typ opalenizny, którą uzyskuje się w solarium albo na plaży, lecz taka, jaką mają ludzie zmuszeni do nieustannego przebywania na świeżym powietrzu.

W kącikach oczu matki pojawiły się drobne zmarszczki, które wcale jej nie szpeciły; przeciwnie, dodawały rysom twarzy ciepła i miękkości.

Sądząc po pełnych zachwyty spojrzaniach, jakie rzucał jej przyjaciel, który podszedł i przywitał się z Marthą, widać było, że jemu również te zmarszczki ani trochę nie przeszkadzają.

- Paul już wie, że jesteś w Bostonie? - spytała mama, kiedy wsiedli do samochodu.

Martha pokręciła głową.

- Chcesz mu zrobić niespodziankę?

- Nie, ja i on... My się już... Pogadamy o tym kiedy indziej. - Martha nie chciała rozmawiać na ten temat przy doktorze

Graahamie. - Opowiedz mi lepiej coś o Peru, o tym, jak wam się pracuje.

Matka przyjrzała się córce, chwilę się wahała, w końcu najwyraźniej uznała, że zaproponowany przez nią temat jest najbezpieczniejszy do omówienia w towarzystwie osoby trzeciej i zaczęła opowiadać.

Od czasu do czasu Martha pytała ją o jakiś szczegół, kilka pytań zadał jej przyjaciel, matka odpowiadała, aż wreszcie zajechali pod dom.

- Czyli tak, jak się umawialiśmy, jestem u ciebie o siódmej - powiedział doktor Graaham, kiedy wysiadły.

- Zadzwoń jeszcze - rzuciła matka roztargnionym tonem. - Nie wiem, może będziemy musieli to przełożyć.

Córka dostrzegła wyraz zawodu w jego oczach oraz napięcie na twarzy matki i natychmiast się domyśliła, o co chodzi.

Mama, dowiedziawszy się o Paulu, nie chciała jej dzisiaj zostawiać samej i właśnie próbowała odwołać randkę. Martha usilnie się zastanawiała, co zrobić, żeby uratować im ten wieczór, i w końcu znalazła rozwiązanie.

- Mamo, jestem dzisiaj umówiona z Bridget - skłamała. - Więc jeśli masz jakieś plany, to nie chciałabym, żebyś je zmieniała, a już na pewno nie z mojego powodu.

Nie umknęło jej uwagi, że doktor Graaham niemal odetchnął z ulgą.

- O której się spotykacie?

- Mam u niej być o szóstej. - Martha dalej brnęła w kłamstwa. - Pewnie nam trochę zejdzie, tak długo się nie widziałyśmy...

- Wiem, jak to jest - rzuciła matka, po czym zwróciła się do swojego przyjaciela: - Więc o siódmej.

- A może o szóstej? - zasugerował. Uśmiechnęła się.

- Muszę się doprowadzić do porządku - powiedziała, ale po chwili zmieniła decyzję. - O wpół do siódmej.

- Świetnie! - ucieszył się doktor Graaham.

Martha, żałowała, że kiedy kłamała, nie podała późniejszej godziny wymyślonemu spotkaniu z Bridget. Gdyby powiedziała, że umówiła się z nią, na przykład, o ósmej, nie musiałyby nawet wychodzić. Mogłaby położyć się do łóżka, a rano wytłumaczyłaby mamie, że poczuła się zmęczona i wróciła wcześniej, niż planowała.

Ale nie była dość przewidująca i teraz musiała gdzieś wyjść, przynajmniej na pół godziny, dopóki po matkę nie przyjedzie jej przyjaciel.

Wzięła prysznic, umyła włosy, wysuszyła, ubrała się i poszła do sypialni mamy, która szykowała się już na randkę, żeby powiedzieć jej „Cześć”.

- Idziecie gdzieś na kolację?

Matka nie usłyszała pytania. Stała przed łóżkiem, na którym leżały trzy sukienki.

- Jak myślisz, która? - zwróciła się do córki.

- We wszystkich ładnie wyglądasz.

- Ale wszystkich trzech nie włożę. Muszę wybrać jedną.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek tak się stroiła na randkę. - Martha spojrzała na nią z zaczepnym, ale serdecznym uśmiechem.

- Nie pozwalaj sobie za dużo - powiedziała mama z udawanym oburzeniem. - W końcu jestem twoją matką.

- Jesteś moją nowoczesną i nietoksyczną matką.

- Więc która?

- Zdecydowanie ta ciemnozielona.

- Też o niej myślałam.

- Jecie kolację na mieście? - zapytała ponownie Martha, ponieważ bardzo jej zależało na uzyskaniu odpowiedzi.

- Tak. Peter zarezerwował gdzieś stolik, ale nie wiem gdzie, bo to ma być niespodzianka.

Martha poczuła się usatysfakcjonowana. Poczekała chwilę, aż mama włoży sukienkę.

- Ale z ciebie laska! - zawołała i gwizdnęła.

- Przypominam, że jestem twoją matką. - Znów udała, że jest oburzona.

- Nowoczesną i nietoksyczną - powtórzyła Martha, podeszła do niej i ją pocałowała. - Baw się dobrze i nie wracaj za szybko do domu. Ja muszę już lecieć.

- Pa, kochanie.

Martha, wychodząc z domu, postanowiła pospacerować po mieście jakieś trzy kwadransy i wrócić. Potem pomyślała, że to może być ryzykowne. A co, jeśli mama i jej Peter się rozmyślą i zamiast zjeść kolację na mieście, postanowią skorzystać z - jak to kiedyś określiła matka „wolnej chaty” - i zostaną w domu?

Zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie wybrać się do Bridget. Miała do niej wprawdzie żal, że po tamtej rozmowie, w której powiedziała jej o Paulu, nie zadzwoniła do niej ani razu, choćby po to, by zapytać, jak się czuje. Martha nie należała jednak do osób, które długo żywią urazy, i wiedziała, że i tak, zanim wyjedzie z Bostonu, się z nią spotka.

A skoro tak, to czemu nie dzisiaj? Przynajmniej jutro nie będę musiała znów okłamywać mamy, pomyślała i na skrzyżowaniu, zamiast skręcić w prawo, tak jak wcześniej zamierzała, poszła w lewo ulicą, przy której mieszkała przyjaciółka.

Drzwi otworzyła pani Dunmore.

Była wyjątkowo miła i serdeczna.

- Martha! A to ci dopiero niespodzianka!

- Dzień dobry - powiedziała Martha zdziwiona jej wylewnością.

- Bridget nie wspomniała, że przyjeżdżasz.

- Nic jej nie mówiłam. Chciałam ją zaskoczyć.

- Wejdz, proszę. - Pani Dunmore odsunęła się, żeby wpuścić ją do środka.

- Bridget nie ma? - spytała Martha.

- Pojechała na zakupy, ale lada chwila powinna wrócić. Chodź, poczekamy na nią w salonie.

Martha poszła za panią Dunmore i usiadła na kanapie.

- Może się czegoś napijesz? - zaproponowała gospodyni.

- Jeśli można, to poproszę o wodę z lodem.

- Ależ oczywiście.

Matka Bridget zniknęła w kuchni i po chwili wróciła ze szklanką wody.

- Dzięki - powiedziała Martha.

- Od kiedy jesteś w Bostonie?

- Przyleciałam dzisiaj w południe.

- Już na stałe?

- Nie, tylko na dziesięć dni.

Pani Dunmore zrobiła zafrasowaną minę.

- Szkoda, że na tak krótko. I w ogóle szkoda, że twoja mama się nie zgodziła, żebyś na czas jej nieobecności zamieszkała u nas.

Martha musiała się bardzo postarać, żeby nie okazać, jak zaskoczyło ją to, co usłyszała.

- Zbierałam się nawet, żeby do niej zadzwonić i spróbować ją przekonać - ciągnęła pani Dunmore - ale Bridget przekonała mnie, żebym tego nie robiła, bo mogę ją postawić w niezręcznej sytuacji.

Dziewczyna była coraz bardziej zdumiona.

- Jak ci się żyje tam, tam...

- W Minnesocie - odpowiedziała jej Martha.

- Właśnie.

- Całkiem przyjemnie.

Pani Dunmore patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Okolica jest przepiękna, mnóstwo jezior i lasów - opowiadała Martha, starając się ją przekonać. - Dom, w którym mieszkam, stoi nad samym jeziorem.

- Nie czujesz się tam zbyt samotna?

- Skądże. Mam dobry kontakt z ojcem, jego żoną i moją małą siostrą - odparła Martha. - I znalazłam przyjaciół - dodała, zastanawiając się, czy Kevin i Patricia nie są jej pierwszymi prawdziwymi przyjaciółmi.

Martha zerknęła na zegarek.

- A szkoła? - dopytywała się dalej pani Dunmore. - Nie sądzisz, że mimo wszystko byłoby lepiej, żebyś skończyła liceum w Bostonie, a nie...

Marcie przemknęło przez myśl, że za chwilę usłyszy słowo „zadupie”, matka Bridget była jednak prawdziwą bostońską damą, zbyt dobrze wychowaną, żeby używać takich słów.

- A nie na prowincji - dokończyła.

- Jeśli komuś zależy na tym, żeby się czegoś nauczyć, to się nauczy, niezależnie od szkoły - powiedziała Martha z przekonaniem i pomyślała o kilku swoich nowych koleżankach i kolegach, którzy mogliby zabłysnąć wiedzą i inteligencją nawet w tak renomowanym liceum jak to, do którego chodziła w Bostonie.

- Słuszna uwaga - zgodziła się z nią pani Dunmore.

Martha jeszcze raz spojrzała na zegarek.

- Może ja jednak nie będę czekać - powiedziała, wstając z kanapy. - Zadzwoń do Bridget i jakoś się umówimy - dodała, choć wiedziała, że tego nie zrobi.

- Poczekaj jeszcze trochę. Ona na pewno wkrótce wróci.

Właśnie tego się Martha obawiała. Poczula, że musi stąd jak najszybciej wyjść, żeby uniknąć tego spotkania.

- Ja właściwie wpadłam tylko na chwilę. Powinnam już pójść. Bardzo dziękuję za rozmowę i za wodę.

Gospodyni patrzyła na nią, zaskoczona tym nagłym pośpiechem.

Martha zdawała sobie sprawę, że zachowuje się tak, jakby uciekała, ale wcale się tym nie przejęła. Myślała tylko o tym, by jak najszybciej opuścić ten dom - zanim wróci Bridget.

Było dobrze po ósmej, a Martha wciąż chodziła bez celu ulicami Beacon Hill, starej urokliwej dzielnicy Bostonu. Z Cambridge Street skręciła w Tempie Street i szła wolnym krokiem, myśląc o tym, co usłyszała od matki Bridget.

Zastanawiała się, jak było - czy pani Dunmore kłamała, czy mówiła dziś prawdę i rzeczywiście zaproponowała córce, żeby Martha u nich zamieszkała, a Bridget nawet słowem jej o tym nie wspomniała.

Zdawała sobie sprawę, że nigdy się nie dowie, która z tych wersji jest prawdziwa, i chyba wcale nie chciała wiedzieć.

- Martha! - usłyszała, kiedy dotarła mniej więcej do połowy Tempie Street.

Odwróciła się i zobaczyła szkolną koleżankę, Danielle Bradford. Całkiem zapomniała, że ona właśnie tu mieszka.

- Danielle! - Martha zawróciła i dziewczyny się wyściskały.

- Kiedy wróciłaś do Bostonu?

- Nie wróciłam - sprostowała Martha. - Zostanę tu tylko dziesięć dni. A przyleciałam dzisiaj.

- To miałam szczęście, że cię od razu spotkałam. Właśnie wczoraj rozmawiałam z Tessą, wspominałyśmy twoją pożegnalną imprezę i zastanawiałyśmy się, jak ci się żyje tam, na północy.

- Całkiem fajnie.

- Wpadnij do mnie, to pogadamy - zaproponowała Danielle.

Martha ją lubiła, ale dzisiaj nie miała nastroju do pogaduszek.

- Muszę wracać do domu - powiedziała. - Zadzwoń do ciebie jutro albo pojutrze i się umówimy, dobrze?

- Jasne, bardzo chętnie. Zadzwoń koniecznie. Zresztą, jeśli ty się nie odezwiesz, to ja cię będę łapać.

- Na pewno zadzwonię - obiecała Martha, którą wątpliwości co do Bridget na szczęście nie zapędziły jeszcze w taką paranoję, żeby się odcinała od wszystkich ludzi.

- Widziałaś się już z Paulem?

- Nie - odparła Martha.

- Nie?! - Danielle zrobiła wielkie oczy.

Martha zastanawiała się, czy udaje zdziwienie, czy rzeczywiście nic nie wie. Z drugiej strony, nie mogła nie wiedzieć. Jeśli Eileen Thurman zaczynała się spotykać z nowym chłopakiem, bębniła o tym cała szkoła.

- Przecież Paul ma już inną dziewczynę - powiedziała, patrząc uważnie na koleżankę.

- Pierwsze słyszę. - Danielle była naprawdę zaskoczona. - Nie, to niemożliwe - dodała po chwili.

- Spotyka się z Eileen Thurman.

- Oszalałaś?! Słyszałaś kiedyś, żeby Eileen umawiała się z chłopakiem, który jeździ bryką tańszą od Mustanga?

- No, nie - przyznała Martha.

Wiedziała, że Eileen, dobierając sobie partnerów, kieruje się określonymi kryteriami. A Paul nie należał do chłopaków, którzy na prawo i lewo szastają pieniędzmi rodziców. Prawdę powiedziawszy, jego rodzice nie mieli ich za wiele.

- Kto ci naopowiadał takich bzdur? - spytała Danielle.

- Bridget. Po co miałyby mnie okłamywać?

- Nie mam pojęcia. Chyba... - Danielle przerwała i zamyśliła się. - Chyba że sama ma ochotę zakręcić się koło Paula.

Martha po rozmowie z panią Dunmore straciła zaufanie do Bridget, nie mieściło jej się jednak w głowie, że osoba, którą przez lata uważała za przyjaciółkę, mogła być do tego stopnia wyrachowana. I dlaczego Paul przestał się do niej odzywać, skoro nie chodziło o dziewczynę?

- Nie mam pewności, dlaczego Bridget to wymyśliła, ale daję głowę, że Paul nie spotyka się z Eileen - powiedziała Danielle. - I nie ma żadnej innej dziewczyny. Ostatnio chodzi strasznie przygnębiony. Najlepiej by było, gdybyś z nim porozmawiała... - poradziła, ale Martha już jej nie słuchała.

Cmoknęła ją w oba policzki i pobiegła w stronę Cambridge Street.

- Dzięki, Danielle, jesteś kochana! - zawołała, nawet się nie odwracając. - Zadzwoń do ciebie jutro.

Martha, wstrzymując oddech, czekała, aż ktoś się zgłosi. Modliła się, żeby ktokolwiek podniósł słuchawkę - jeśli nie Paul, to któreś z rodziców albo jeden z braci. Wtedy mogłaby się przynajmniej dowiedzieć, czy jest w Bostonie. Najbardziej się bała, że wyjechał na wakacje.

Przed chwilą dzwoniła na jego komórkę, ale nie odebrał. Może zobaczył, że to ona, i nie chciał z nią rozmawiać. To nic, i tak zrobi wszystko, żeby się z nim skontaktować.

Wiedząc, że Bridget skłamała, kiedy mówiła, że Paul spotyka się z Eileen, potrafiła sobie wyobrazić, że jemu naopowiadała podobnych bzdur o niej, i była gotowa poruszyć niebo i ziemię, żeby to wyjaśnić.

Zwykle po piątym sygnale odkładała słuchawkę, ale teraz doliczyła się już ośmiu.

Opłacało się czekać. Ktoś odebrał telefon - nie ojciec ani matka, ani też żaden z braci, tylko on.

- Cześć, Paul - odezwała się schrypniętym z emocji głosem.

- Martha...?

W oczach stanęły jej łzy, kiedy usłyszała jego głos. Boże, jak za nim tęskniła...

- Tak, to ja.

Biegając po spotkaniu z Danielle do domu, wystukując numer i czekając, aż ktoś odbierze, myślała tylko o tym, żeby się z nim skontaktować, i nie zastanawiała się, jak zacząć rozmowę. Teraz stanęła wobec tego problemu i poczuła się zupełnie bezradna.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - zaczęła dość nieporadnie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy to zrobić już dawno temu? - spytał Paul.

- Owszem, tylko ciekawe, jak miałam to zrobić.

- Po prostu szczerze mi powiedzcieć.

- Jak?! To nie ja zerwałam z tobą kontakt.

- Masz rację - przyznał. - Ale chyba wtedy nie chciałem

słyszeć tego, co masz mi do powiedzenia.

. - Czego, na miłość boską?! Martha teraz nie miała już wątpliwości, że Bridget naopowiadała mu o niej jakichś kłamstw.

- Paul - zaczęła spokojnie. - Powiedz mi tylko jedno. Czy przestałeś się ze mną kontaktować po tym, jak usłyszałeś coś o mnie od Bridget?

Zaskoczony jej pytaniem długo nie odpowiadał.

- Powiedz mi tylko: „tak” albo „nie” - poprosiła.

- Tak.

- Co za... - Na usta cisnęły jej się najgorsze określenia, udało jej się jednak zapanować nad wściekłością. - Chcesz usłyszeć, co opowiedziała mi o tobie.

- A co ona mogła ci o mnie powiedzieć?

- Kiedy ci powiem, przekonasz się, że masz ubogą wyobraźnię - odparła. - Po tym, jak przez dwa dni nie pojawiłeś się na Skypie i nie zareagowałeś na mojego esemesa, zadzwoniłam do niej, niby żeby pogadać, ale tak naprawdę chciałam się dowiedzieć czegoś o tobie. No i się dowiedziałam.

- Jezu! Czego?!

- Że masz już nową dziewczynę. Paula zatkało.

- I to nie jakąś tam dziewczynę, tylko Eileen Thurman.

- Co?!

- Nie przesłyszałeś się.

- I uwierzyłaś w taką bzdurę?!

- Hmm...

- Naprawdę jej uwierzyłaś?!

- Powiedz, co powiedziała ci o mnie - poprosiła Martha.

- Że... że ten Kevin, o którym mi tyle opowiadałaś... że ty i on... że się jej zwierzyłaś, że się w nim zakochałaś, i nie wiesz, jak mi to przekazać.

- I uwierzyłaś w taką bzdurę? - powtórzyła jego słowa.

- To było coś zupełnie innego niż ta historia z Eileen - tłumaczył Paul. - Mówiłaś mi, że to fajny chłopak, wiedziałem, że spędzacie razem dużo czasu, że...

- Bo to prawda - przerwała mu Martha. - Jest naprawdę fajny

i rzeczywiście spędzam z nim dużo czasu. Z nim i z jego dziewczyną, z którą się zaprzyjaźniłam. I to jest prawdziwa przyjaciółka. Nie taka jak Bridget, która odbije ci chłopaka, kiedy tylko wyjedziesz...

- Bridget odbiła ci chłopaka...? Nic już z tego nie rozumiem - powiedział.

- Nie mam pojęcia, czy to zrobiła, ale chyba próbowała.

- Próbowwała? - zdziwił się Paul.

- Nie wiem. Ale podaj mi choć jeden rozsądny powód, dla którego knułyby te intrygi, poza tym, że wpadłeś jej w oko i zależało jej na tym, żebyśmy się rozeszli.

- Nie potrafię - przyznał się.

- Ja też. No, chyba że jest notoryczną intrygancką i zrobiła to dla samej przyjemności intrygowania.

- Teraz, kiedy mi o tym wszystkim mówisz, to rzeczywiście wydaje mi się, że ostatnio kręciła się koło mnie. Dzwoniła, próbowała gdzieś wyciągnąć, a to do kina, a to na basen, a to na pizzę...

- No to już mamy odpowiedź - powiedziała Martha, zastanawiając się, czy Paul dawał się „wyciągać”.

- Wydawało mi się, że robi to z litości... Wiesz, taka dobra koleżanka. Tyle że ja nie miałem ochoty nigdzie wychodzić, a nawet jeśli bym chciał, to na pewno nie z nią. Nie mówiłem ci tego, bo to twoja przyjaciółka, ale zawsze mnie denerwowała. Nie lubię takich egzaltowanych osóbek.

Martha odetchnęła z ulgą.

- Nie spodziewałem się jednak, że stać ją na takie świństwo - oburzył się Paul.

- Ja też.

- Po tym, jak mi powiedziała, że zakochałaś się w Kevinie, przysłałaś mi esemesa, w którym napisałaś, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego. Byłem pewien, że zamierzasz mi to wyznać, i chyba wolałem tego nie słyszeć.

Martha roześmiała się.

- Tego dnia dowiedziałam się, że mama będzie w Bostonie

przez dziesięć dni i że ja też będę mogła przylecieć, i chciałam ci o tym jak najszybciej powiedzieć.

- Byłaś w Bostonie?'

- Nie.

- Przylecisz?

- Nie. Rozczarowany Paul zamilkł.

- Jestem w Bostonie - powiedziała Martha.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Już do ciebie jadę...

- Paul - zaczęła Martha, ale już go nie było.